

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**GOTFRYD KELLER**

**ROMEO i JULIA NA WSI**

Opowieść ta byłaby zbędnym naśladownictwem, gdyby nie opierała się na prawdziwym zdarzeniu i nie była dowodem, jak głęboko w życiu ludzkim zakorzeniony jest każdy z tych wątków, na których zbudowano dawne, wielkie arcydzieła. Wątków tych jest niewiele, lecz zjawiają się w coraz to innej szacie i wtedy zmuszają rękę artysty, żeby je utrwaliła.

Nad piękną rzeką, płynącą o pół godziny drogi od Seldwili, wznosi się rozległe wzgórze, które, samo dobrze uprawione, przechodzi w żyzną równinę. Z dala, u jego stóp, znajduje się wieś obejmująca kilka dużych chłopskich zagród, zaś na łagodnym wzniesieniu leżały przed laty obok siebie trzy wspaniałe, duże zagony, niby trzy olbrzymie wstęgi.

Pewnego słonecznego wrześnieowego poranka dwaj chłopci orali dwa z tych zagonów, a mianowicie oba zewnętrzne. Zagon środkowy zdawał się już od wielu lat leżeć odłogiem, gdyż był pokryty kamieniami i zarośnięty wysokim chwastem, a w górze ponad nim brzęczał i szumiał w najlepsze drobny skrzydlaty światek. Chłopi powoli kroczący za swymi pługami po obu stronach zagonu byli wysocy i o grubej kości, w wieku około czterdziestu lat; wyglądali na pewnych siebie i zamożnych. Nosili krótkie, sięgające do kolan spodnie, z mocnego drellichu, w którym każda fałda zastygła w niezmiennej formie, jak gdyby wykuta w kamieniu. Kiedy mocniej chwyтали napotykJający jakąś przeszkodę pług, od lekkiego wstrząsu drżały grube rękawy ich koszul, lecz starannie ogolone twarze pozostawały spokojne i uważne; mrużyli tylko lekko oczy, gdy patrzyli przed siebie w słońce, mierzyli wzrokiem bruzdy lub gdy oglądali się niekiedy na jakiś daleki odgłos przerywający ciszę wsi.

Powoli i z jakimś naturalnym wdziękiem kroczyli przed siebie bez słowa, wydając tylko czasem polecenia parobkom popędzającym okazałe konie. Byli z pewnej odległości zupełnie do siebie podobni, przedstawiali bowiem rdzenny typ tej okolicy i na pierwszy rzut oka można ich było odróżnić po tym tylko, że jednemu czub białej spiczastej czapki zwisał do przodu, drugiemu zaś spadał do tyłu na kark. Ale i to się kolejno zmieniało, kiedy odwracali pługi w przeciwną stronę; gdy bowiem mijali się na szczycie wzgórza, temu, który szedł przeciw ostremu wschodniemu wiatrowi, czub spiczastej czapki opadał do tyłu, temu zaś, który odwracał się od wiatru, czapka przechylała się ku przodowi. Za każdym razem była też chwila pośrednia, gdy lśniąca w słońcu czuby chwiały się w powietrzu prosto w górze i jak dwa białe języki ognia wznosiły ku niebu. Tak więc orali obaj spokojnie i piękny był to widok, kiedy w cichym i złotym wrześnieowym krajobrazie mijali się na szczycie wzgórza, powoli schodząc znowu w dół, stopniowo się od siebie oddalając, aż obaj, jak dwie zachodzące gwiazdy, znikali za stokiem, by po dobrej chwili znowu się ukazać. Gdy któryś znalazł w swojej bruździe kamień, odrzucał go silnym, niedbałym ruchem na środkowy ugór, ale zdarzało się to rzadko, ponieważ leżały już na nim prawie wszystkie kamienie, które można było znaleźć na sąsiednich zagonach.

Tak minęła spora część długiego poranka, gdy od strony wsi zbliżył się pomału zgrabny wózek i zaczął się wspinać po stoku, ledwo widoczny na łagodnym wzniesieniu. Był to pomalowany na zielono mały dziecięcy wózeczek, w którym dzieci obu oraczy, chłopczyk i malutka dziewczuszka, wiozły wspólnie drugie śniadanie. Dla każdego z oraczy leżał na wózku piękny chleb zawinięty w serwetę, dzban z winem, szklanki oraz różne jeszcze dodatki, które troskliwa chłopka posyła pracowitemu gospodarzowi; poza tym były tam jeszcze dziwaczno kształtu nadgryzione jabłka i gruszki, zebrane przez dzieci po drodze, oraz zupełnie naga lalka z jedną tylko nogą i zasmarowaną buzią; lalka niby jakaś panienka

siedziała między bochenkami i pozwalała się wygodnie wieść.

Wózek po wielu wstrząsach i postojach zatrzymał się wreszcie na wzgórku, w cieniu młodych lipek rosnących na skraju pola, i teraz można się było bliżej przyjrzeć ciągnącej go parce. Był to siedmioletni chłopczek i pięcioletnia dziewczuszka, oboje zdrowi i żwawi; nie było w nich nic szczególnego, chyba to, że oboje mieli śliczne oczy, dziewczynka zaś ponadto smagłą buzię i mocno kędzierzawe ciemne włosy, co nadawało jej wygląd żywej jak iskra i szczerzej. Oracze znowu stanęli na szczycie, zatrzymali pługi w połowie bruzdy rzucili koniom nieco koniczyny i jako dobrzy sąsiedzi – zasiedli do wspólnego posiłku, dopiero teraz się witając, gdyż tego dnia nie zamienili z sobą jeszcze ani słowa. Mężczyźni, spożywając z przyjemnością drugie śniadanie i dzieląc się nim pogodnie z dziećmi, które – póki ojcowie jedli i pili – nie odchodziły ani na krok, ogarniali wzrokiem bliższą i dalszą okolicę i spoglądali na lśniące wśród dymów otoczone górami miasteczko; było to bowiem południe – pora, w której mieszkańcy Seldwili przyrządzali obfite posiłki – i ponad dachami unosiły się ku górze z daleka widoczne srebrne obłoczki, pogodnie płynące kra wzgórzom.

– Ta hałastra seldwilska znowu tęgo warzy – rzekł jeden z chłopów, Manc.

Zaś drugi, Marti, odpowiedział:

– Wczoraj był u mnie jeden z nich w sprawie tego zagonu.

– Z wydziału powiatowego? U mnie też był – powiedział Manc.

– Tak? I myślał zapewne, że będziesz użytkował ziemię i płacił tym panom za jej dzierżawę.

– Ano tak, dopóki się nie rozstrzygnie, do kogo pole należy i co się z nim stanie. Ale podziękowałem im za to, nie chcę uprawiać dzikiego ugoru dla Bóg wie kogo; powiedziałem, aby grunt sprzedali, a należność zatrzymali do czasu, aż się znajdzie właściciel, co zapewne nigdy nie nastąpi; bo co się raz dostanie do kancelarii w Seldwili, poleży tam sobie dobry kawał czasu, a zresztą sprawa jest trudna do rozstrzygnięcia. Łobuzy chcieliby tymczasem zarobić coś niecoś na czynszu dzierżawnym, tak samo zresztą mogliby zarobić na sumie uzyskanej ze sprzedaży. Ale my byśmy już dopilnowali, żeby cena nie była zbyt wyśrubowana, a w każdym razie wiedzielibyśmy co posiadamy i do kogo grunt należy.

– Jestem tego samego zdania i podobną odpowiedź dałem temu skoczybruździe.

Pomilczeli chwilę, potem znów zaczął Manc:

– Ale szkoda przecież, że dobry grunt leży odłogiem. Aż przykro potrzebę, a trwa to już dobrych dwadzieścia lat i nikt się o to nie zatroszczył. Tu we wsi nie ma nikogo, kto by sobie rościł prawo do tego zagonu, i nikt też nie wie, gdzie podziały się dzieci tego zatraconego trębacza.

– Hm – rzekł Marti – w tym sęk. Ilekroć spojrzę na tego czarnego skrzyпка, włóczęgę bez ziemi, przygrywającego po wsiach do tańca, mógłbym przysiąc, że to trębaczowy wnuk, który oczywiście nawet nie wie, że posiada jeszcze jakiś grunt. Ale cóż on by z nim począł? Przez miesiąc chodziłby pijany, a potem – znowu jak wprzódy. Zresztą któż by mu zwracał na to uwagę, skoro nikt nie wie przecież nic pewnego?

– To byłaby ładna historia – odrzekł Manc – i tak mamy już dość kłopotu z odmawianiem temu grajkowi przynależności do naszej gminy, bo wciąż chcą nam narzucić tego obieżyświata. Skoro już jego rodzice zeszli pomiędzy bezdomnych, to jego miejsce jest wśród grajków i włóczęgów. Skąd u licha mamy wiedzieć, czy on naprawdę jest wnukiem trębacza? Co do mnie, to poznaję wprawdzie rysy starego w tej ciemnej twarzy, ale powiadam sobie: człowiek jest omylny, a najmniejszy strzęp papieru, skrawek metryki chrztu, bardziej by uspokoił moje sumienie niż dziesięć ludzkich gęb.

– O, tak, na pewno – rzekł Manc. – Chociaż grajek mówi, że nie jego to wina, iż go nie ochrzczono, ale czy mamy obnosić się z chrzcielnicą po lasach? O, nie! Chrzcielnica tkwi mocno w kościele, a przenośne są tylko mary dla nieboszczyków, wiszące na zewnątrz kościoła. Nasza wieś i tak jest już przeludniona, maluczko, a potrzebny nam będzie drugi

nauczyciel.

Na tym skończyła się gawęda i śniadanie wieśniaków; podnieśli się, by dokończyć swej przedobiedniej pracy. Natomiast dzieciaki, które już z góry postanowiły, że wrócą do domu dopiero razem z ojcami, zaciągnęły wózek pod osłonę młodych lip i zrobiły najazd na ugor, któremu chwasty, krzewy i kupy kamieni nadawały wygląd niezwykłego i dziwnego uroczyska. Dzieci wędrowały jakiś czas pośród tego zielonego gąszczu, trzymając się za ręce i bawiąc się unoszeniem ich nad wysokimi ostami, w końcu spoczęły w cieniu jednego z nich; dziewczynka zaczęła przystrajać lalkę w długie liście przydrożnego zielska, tak iż lalka otrzymała piękną zieloną spódniczkę z ząbkowanym brzegiem, zaś kwitnący tu jeszcze samotnie czerwony mak, przymocowany żdźbłem trawy, przeistoczył się w kapturek na głowę. Teraz mała figurka przybrała wygląd czarodziejki, zwłaszcza gdy dodano jej jeszcze naszyjnik i pasek z drobnych czerwonych jagódek. Dzieci posadziły ją potem na wysokiej łodydze ostu i przez chwilę przyglądały się jej razem, aż chłopiec, napatrzywszy się do syta, stracił ją kamieniem. To wprowadziło nieład w strój lalki, toteż dziewczynka czym prędzej ją rozebrała, aby przystroić na nowo. Ale gdy lalka znowu była naga i pyszniła się tylko czerwoną czapeczką, niesforny chłopak wyrwał z rąk swej towarzyszki zabawkę i podrzucił ją wysoko w powietrze. Dziewczynka podskoczyła z żalonym okrzykiem usiłując złapać lalkę, ale chłopak pochwycił ją pierwszy i znowu podrzucił. Dziewczynka na próżno usiłowała wyrwać mu lalkę, a chłopak przez dłuższą chwilę w ten sposób się z nią przekomarzał. W rękach chłopca fruująca lalka doznała jednak uszczerbku: na kolanie jej jedynej nogi zrobiła się dziura, przez którą posypały się trociny. Prześladowca spostrzegłszy dziurę uciekł nagle i otwarłszy w zdumieniu usta począł powiększać ją paznokciami, by zgłębić tajemnicę pochodzenia trocin. Ten spokój wydał się dziewczynce w najwyższej mierze podejrzany, podeszła więc bliżej i ze strachem spostrzegła jego nieczne poczynania.

– Spójrz! – zawołał chłopak i zaczął wymachiwać lalczyną nogą przed noskiem dziewczynki, aż trociny obsypały jej twarzyczkę; gdy chciała pochwycić lalkę, krzycząc i błagając, chłopak uskoczył znowu w bok i nie uspokoił się, póki chuda noga lalki nie zwisała smętnie jak szmata. Potem odrzucił sponiewieraną zabawkę i z miną zuchwałą i obojętną patrzył, jak mała rzuciła się na nią z płaczem i zawinęła w fartuszek. Ale wyjęła ją po chwili i żałośnie oglądała biedaczkę, a ilekroć spójrzała na nogę, wybuchała na nowo płaczem, bo noga zwisała przy tułowiu jak jaszczurczy ogonek. Ponieważ dziewczynka nie mogła się utulić w płaczu, małemu złoczyńcy zrobiło się w końcu przykro i stanął przed lamentującą pełen trwogi i skruchy; gdy to zauważyła, przestała nagle płakać i uderzyła go kilkakrotnie lalką, on zaś udawał, że go to boli i krzyknął: „Aj” w sposób tak naturalny, że dziewczynkę zadowolilo to w zupełności i razem z nim ją kontynuować dzieło rozkładu i zniszczenia. Wiercili jedną dziurę po drugiej w umęczonym ciele lalki, tak że ze wszystkich stron posypały się trociny, z których dzieci utworzyły na płaskim kamieniu kopczyk, grzebiąc w nim i bacznie mu się przyglądając. Jediną całą rzeczą w lalce była jeszcze głowa, musiała więc teraz zwrócić uwagę dzieci. Oddzieliły ją starannie od wytrząśniętych zwłok i zajrzały, zdumione, w jej puste wnętrze. Kiedy patrzyły na to niepokojące ich wydrażenie, a miały przed sobą równocześnie trociny, w najnaturalniejszy sposób wpadły na pomysł, by głowę wypełnić trocinami; paluszki dzieci zajęły się teraz na wyścigi wsypywaniem do niej trocin i oto po raz pierwszy w życiu coś w tej głowie było. Ale chłopak uważał to widać za martwą wiedzę, bo nagle złapał dużą niebieską muchę i trzymając ją, bzyczącą, zamkniętą w dłoniach, kazał dziewczynce opróżnić głowę lalki. Uwięziono w niej muchę, otwór zaś zatkało trawą. Dzieci przykładały lalczyną głowę do uszu, potem złożyły ją uroczyście na kamieniu; brzęcząca, wciąż jeszcze nakryta kwiatem czerwonego maku, robiła wrażenie jakiejś czarodziejskiej wróżącej głowy; dzieci – objawszy się – słuchały wśród głębokiej ciszy jej baśni i opowieści. Ale każdy prorok budzi lęk i niewdzięczność; odrobina życia zamknięta w tym nędznym kształcie obudziła w dzieciach ludzkie okrucieństwo, i

postanowiły pogrzebać głowę. Wykopały grób i włożyły weń głowę nie pytając o zdanie złapanej muchy; na grobie zaś wzniosły okazały pomnik z polnych kamieni. Ale wkrótce począł je ogarniać lęk, gdyż pogrzebały coś żywego, mającego ludzki kształt, oddaliły się więc spory kawałek od niesamowitego cmentarza. Dziewczynka położyła się na wznak w miejscu całkowicie zarośniętym zielskiem, była bowiem zmęczona, i zaczęła monotonicznie nucić kilka ciągle tych samych słów. Chłopak, niezdecydowany, czy ma się także położyć – był bowiem równie znużony i senny – przykucnął opodal i wtórował dziewczynce.

Słońce świeciło prosto w usta śpiewającej, oświetlało jej lśniące białe ząbki i okrągłe purpurowe usta. Chłopak przytrzymał nagle jej głowę i oglądając ciekawie jej ząbki zawołał:

– Zgadnij, ile człowiek ma zębów?

Dziewczynka zastanawiała się chwilę, jakby je z namysłem przeliczała, a potem rzekła na chybił trafił:

– Sto.

– Nie, trzydzieści dwa – zawołał – czekaj, porachuję – i zaczął rachować zęby dziecka, a ponieważ nie mógł się doliczyć trzydziestu dwóch, zaczynał ciągle na nowo.

Dziewczynka długo zachowywała się dość spokojnie, ale gdy gorliwy rachmistrz nie mógł jakoś dojść do ładu z liczeniem, zerwała się i zawołała:

– Teraz ja porachuję twoje zęby.

Wtedy chłopczyk ułożył się wśród chwastów, dziewczynka zaś, siedząc na nim, objęła jego głowę, on otworzył usta, a ona liczyła:

– Raz, dwa, siedem, pięć, dwa, jeden mała piękność nie umiała jeszcze liczyć.

Chłopczyk poprawiał jej błędy i udzielał pouczeń, jak ma liczyć, ona zaś rozpoczynała ciągle na nowo i zabawa ta podobała im się najlepiej ze wszystkich dzisiejszych zabaw. Ale w końcu dziewczynka osunęła się na małego rachmistrza i dzieci usnęły w jasnym południowym słońcu.

Tymczasem ojcowie dokończyli orki swoich zagonów, które tworzyły teraz świeżo pachnącą brunatną płaszczyznę. Ale gdy parobek jednego z nich kończąc ostatnią bruzdę chciał zatrzymać konie, gospodarz zawołał:

– Dlaczego stanąłeś? Nawróć no jeszcze raz!

– Przecież skończyliśmy – odparł parobek.

– Stul gębę i rób, co ci każe – gospodarz na to. Zawrócili więc i poczęli odkrawać okazałą skibę ze środkowego, bezpieczeństwa ugoru, aż chwasty i kamienie latały w powietrzu. Ale chłop nie zatrzymał się, by je uprzątnąć, sądząc widocznie, że na to będzie dosyć czasu później, i na dzisiaj zadowolił się wykonaniem roboty tylko z grubsza. W ten sposób rażno, łagodnym łukiem, szedł pod górę; gdy przybył na szczyt, a miły wietrzyk znowu odwrócił czub jego spiczastej czapki, minął orzącego po drugiej stronie sąsiada, który – mając czub czapki z przodu – odkrawał równie okazałą skibę środkowego ugoru, aż grudy ziemi rozlatywały się na boki. Każdy z nich dobrze widział, co robi drugi, ale obaj udawali, że nie widzą, i znowu ginęli sobie z oczu, podobnie jak gwiazdy, które mijają się i cicho zachodzą za wypukłością horyzontu. Tak też mijają się tkackie czółenka ludzkiego losu, lecz żaden tkacz nie wie, co tka.

Mijały jedno żniwa po drugich, każde zaś lato widziało, jak dzieci stawały się coraz większe i piękniejsze, a bezpieczeństwa zagon coraz węższy między panoszącymi się sąsiadami. W każdej orce tracił po skibie z każdej strony, przy czym nie mówiło się o tym ani słowa i żadne oko ludzkie nie dostrzegało bezprawia. Coraz ciaśniej spychane kamienie tworzyły już istny wał wzdłuż całej długości ugoru, a dzięki zarośla wybijały na nim tak wysoko, że dzieci, chociaż urosły, nie mogły się widzieć chodząc po przeciwnych stronach wału. Nie chodziły już bowiem razem na pola; dziesięcioletni Salomon, albo Sali, jak go nazywano, dzielnie dotrzymywał kroku starszym chłopcom i mężczyznom, ciemnowłosa zaś Weronka,

jakkolwiek dziewczątka ogniste, dostała się pod opiekę istot swej płci, w przeciwnym bowiem razie stałaby się pośmiewiskiem wsi jako półchłopiec, półdziewczyna. Mimo to podczas każdych żniw, gdy wszystko, co żyło, wylęgało na pola, korzystali ze sposobności, by wchodzić na dzielący ich kamienisty grzbiet i wzajemnie się z niego strącać. Jakkolwiek poza tym nie utrzymywali z sobą żadnego kontaktu, tę doroczną ceremonię zachowywali troskliwie, zwłaszcza że pola ich ojców nigdzie poza tym nie graniczyły z sobą. Tymczasem jednak grunt miał być nareszcie sprzedany, a uzyskana suma zdeponowana w urzędzie. Licytacja odbyła się na miejscu, ale oprócz chłopów Manca i Martiego stawilo się na nią jedynie kilku gapiów, nikt bowiem nie miał ochoty na kupno tego dziwnego skrawka i uprawianie go między dwoma sąsiadami. Bo chociaż obaj chłopci należeli do najlepszych we wsi gospodarzy i chociaż nie uczynili nic, czego by na ich miejscu nie uczyniło w tych warunkach przynajmniej dwie trzecie wioski, to jednak spoglądano na nich spode łba i nikt nie chciał się wciskać pomiędzy nich z tym okrojonym, sierocym poletkiem. Większość ludzi jest zdolna lub gotowa do popełnienia nieprawości, gdy nadarzy się łatwa po temu okazja; jeśli jednak ktoś ją popełni, pozostali cieszą się, że to nie oni i że ktoś inny, a nie oni, uległ pokusie; czynią więc tego wybrańca miernikiem zła własnych skłonności i traktują go z pewną obawą; wydaje się im kimś naznaczonym przez bogów, kto ściągnąwszy zło na siebie, ich przed nim zabezpieczył, chociaż im samym ślinka idzie na myśl o korzyściach, jakie tamten odniósł.

Manc i Marti byli więc jedynymi poważnymi reflektantami; po dość upartej licytacji zagon dostał się Mancowi. Urzędnicy i gapie opuścili pole; obaj chłopci, którzy krzatali się jeszcze na swoich polach, spotkali się na odchodnym i Marti powiedział:

– Pewnie złączysz teraz starą i nową ziemię i podzielisz na dwie równe części. Przynajmniej ja bym tak zrobił, gdybym ją dostał.

– I ja tak zrobię – odrzekł Manc – bo na jeden zagon będzie to teraz za duże. Ale, co to ja chciałem powiedzieć; zauważyłem, że jeszcze onegdaj worałeś mi się na dole w koniec zagona, który należy teraz do mnie, i odkrajałeś sobie spory narożnik. Może zrobiłeś to w mniemaniu, że kupisz cały kawałek, a wtedy byłoby to tak czy tak twoje. Ponieważ jednak teraz należy to do mnie, rozumiesz chyba, że w żaden sposób nie zgodzę się na taką krzywiznę i nie będziesz miał chyba nic przeciwko temu, jeśli ją wyprostuję. Do wójta pewno z tym nie pójdziemy.

Marti odpowiedział równie spokojnie:

– I ja nie wiem, z czym mielibyśmy iść do wójta, Myślę, że grunt kupiłeś taki, jaki jest teraz, wszyscyśmy go razem obejrzeni, a w ciągu jednej godziny nie zmienił się ani o włos.

– Zmienił czy nie zmienił – powiedział Manc – co było, to było i nie będziemy już do tego powracać. Ale co zanadto, to niezdrowo, w końcu wszystko trzeba doprowadzić do porządku, przecież te trzy zagony zawsze leżały obok siebie równiutko jak pod sznurek; to chyba jakiś dziwny żart z twojej strony ten śmieszny i nierozsądny zakrętas; a przez ten krzywy koniec do każdego z nas przyczepią jeszcze jakieś przewisko. Trzeba go bezwarunkowo usunąć.

Marti roześmiał się i powiedział:

– Nabrałeś nagle dziwnych obaw przed ludzkimi drwinami, ale to się da załatwić; mnie ta krzywizna wcale nie przeszkadza, a jeśli ciebie drażni, to wyprostujemy, ale nie na moją stronę – za to ci rękę.

– Nie gadaj głupstw – rzekł Manc – wyprostujemy ją, i to właśnie na twoją stronę, za to ci rękę.

– Zobaczmy, jeśli dożyjemy – powiedział Marti i obaj chłopci rozeszli się nie patrząc więcej na siebie, lecz gapiąc się w przeciwnych kierunkach, jak gdyby ujrzeli tam coś niezmiernie ciekawego, wymagającego wielkiego skupienia.

Już nazajutrz wysłał Manc parobka, robotnicę dniówkową i swego synka Salego na pole, aby powyrywali chwasty i dzikie krzewy i zebrali je na kupę, by potem łatwiej było wywieźć kamienie. Zaszła widać jakaś zmiana w jego usposobieniu, bo dotychczas nigdy jeszcze nie kazał pracować jedenastoletniemu zaledwie chłopcu, teraz zaś uczynił to mimo protestu matki. Ponieważ użył słów poważnych, i namaszczonych, zdawało się, że tą surowością wobec swej własnej krwi chce zagłuszyć nieprawość, w której żył i która rozpoczęła już swoje zgubne działanie. Wysłana gromadka peła tymczasem wesoło chwasty i z uciechą wykopywała fantastyczne chaszczki i rozmaite rośliny, krzewiące się tutaj od lat. Ta wyjątkowa i niejako dzika robota, niewymagająca przestrzegania żadnych zasad ni staranności, była raczej zabawą. Wysuszone na słońcu badyle złożono na kupę i z hałaśliwą radością spalono; dym rozwiewał się daleko, a młodzież skakała dokoła jak opętana. Było to ostatnie radosne święto na tym nieszczęsnym polu, a młoda Weronka, córka Martiego, przekradła się tu także i dzielnie pomagała. Niezwykłość tego zdarzenia i radosne podniecenie dały małym towarzyszom zabaw sposobność do ponownego zbliżenia i dzieci bawiły się wesoło i szczęśliwie przy wspólnym ognisku. Nadeszły jeszcze inne dzieci, zebrało się całe towarzystwo, lecz Sali zawsze usiłował znaleźć się znów obok Weronki, ilekroć ich rozdzielono, a ona tak samo przysuwała się ku niemu stale z miłym uśmiechem zadowolenia, oboje zaś czuli się tak, jakby ten wspaniały dzień nie miał się nigdy skończyć.

Ale pod wieczór stary Manc przyszedł na pole zobaczyć, co już zrobiono, i chociaż robota była skończona, skrzyczał za wesołość i rozpedził całe towarzystwo. Równocześnie Marti ukazał się na swoim polu i ujrawszy córkę gwizdnął na palcach ostro i rozkazująco, tak że natychmiast przybiegła przestraszona. Marti, sam nie wiedząc dlaczego, uderzył ją kilkakrotnie w twarz; tak więc dzieci udały się do domu smutne i we łzach, nie znając przyczyny ani swego obecnego smutku, ani poprzedniej wesołości; niewinne stworzenia nie mogły zrozumieć szorstkości ojców, rzeczy dla nich całkiem nowej, i dlatego nie przejmowały się nią głębiej.

Dni następne wymagały już cięższej roboty i ramion męskich, gdyż Manc kazał zbierać i wywozić kamienie. Zdawało się, że ta robota nigdy się nie skończy, że zebrano tu wszystkie kamienie z całego świata; Manc nie kazał jednak wywozić ich poza obręb pola, lecz opróżniać wozy na spornym trójkącie, starannie już przez Martiego zaoranym. Poprzednio przeciągnął prostą linię jako granicę obu posiadłości, teraz zaś zwał na ten skrawek ziemi wszystkie kamienie, które obaj gospodarze od niepamiętnych czasów wyrzucali ze swych zagonów. W ten sposób powstała ogromna piramida i Manc uważał, że przeciwnik nie będzie się kwapił z jej usunięciem. Marti nie spodziewał się takiego obrotu sprawy, sądził, że tamten starym zwyczajem dopiero przy orce przystąpi do swego dzieła, i czekał, aż go ujrzy za pługiem. Dopiero gdy rzecz była już na ukończeniu, doszła go wieść o pięknym pomniku wystawionym przez Manca. Wściekły pobiegł na pole, zobaczył prezent, pobiegł z powrotem i przyprowadził urzędnika gminnego, by zaprotestować przeciwko kupie kamieni i spowodować sądowe zajęcie tego skrawka ziemi; w owym dniu chłopcy wszczęli proces, który doprowadził obu do całkowitej ruiny majątkowej.

Tak rozsądne dotychczas głowy gospodarzy pełne były teraz myśli pociętych na sieczkę. Każdy z nich trwał uparcie przy swoim jak najbardziej ograniczonym poczuciu prawa, nie umieli i nie chcieli zrozumieć się nawzajem i jeden oskarżał drugiego o bezprawne i samowolne przywłaszczenie sobie tego spornego, nieznacznego rąbka ziemi. U Manca doszło jeszcze do głosu niezwykle poczucie symetrii i równoległości linii i czuł się naprawdę nieszczęśliwy z powodu niemądrego uporu, z jakim Marti trwał przy bezsensownym i złośliwym zakrętasie. Obaj doszli do zgodnego przekonania, że jeden drugiego chce oszukać w sposób bezczelny i zuchwały, uważając go widocznie za godnego pogardy głupca; zdawało im się, że w tak lekceważący sposób wolno traktować chyba jakiegoś biedaka-przybłądę, ale nie gospodarza statecznego, rządowego i mądrego; obaj czuli się dotknięci w swoim



szczególnym poczuciu honoru i bez żadnych już hamulców oddawali się pieniactwej namiętności, która doprowadziła ich do upadku. Życie ich stało się koszmarem; byli jak dwaj potępieńcy, którzy przykuci do wąskiej deski rzuconej na nurt ciemnej rzeki, walcząc z sobą spychają się wzajemnie w mniemaniu, że usuwają przyczynę swego nieszczęścia. Ponieważ sprawa ich nie była czysta, obaj wpadli w ręce najgorszych szalbierzy, którzy wyjałowioną ich wyobraźnię rozdęli do olbrzymich rozmiarów baniek wypełnionych najbzdurniejszą zawartością. Byli to przeważnie spekulanci z miasta Seldwili, dla których spór ten był znalezionym na drodze smacznym kąskiem. Każdy z przeciwników miał wkrótce swoją partię pośredników, donosicieli i doradców, w najrozmaitszy sposób wyciągających od nich gotówkę. Skrawek ziemi z kupą kamieni, gdzie wybujał znowu las pokrzyw i ostów, stał się tylko załączkiem i początkiem zawilej historii i nowego trybu życia dwóch pięćdziesięcioletnich mężczyzn, którzy odmienili teraz z gruntu dawne swe zwyczaje, obyczaje, zasady i nadzieje. Im więcej tracili pieniędzy, tym goręcej pragnęli je posiadać, im mniej posiadali, tym uparciej dążyli do wzbogacenia się i do prześcignięcia przeciwnika. Byli skorzy do każdego oszustwa, rokrocznie grali na wszystkich zagranicznych loteriach, których losy masowo krążyły po Seldwili, ale nie wygrali nigdy ani talara, natomiast ciągle słyszeli o innych wygrywających i o tym, jak mało brakowało do ich własnej wygranej; tymczasem jednak namiętność ta przyprawiała ich stale i regularnie o straty. Mieszkańcy Seldwili urządzali sobie z nich niekiedy kpiny, każąc im – bez ich wiedzy – stawiać na ten sam numer, tak że obaj wiązali swoje nadzieje na pognębienie przeciwnika z jednym i tym samym losem. Połowę swego czasu spędzali w mieście, gdzie każdy miał swoją główną kwaterę w innej speluncie, gorączkując się i tracąc pieniądze. Pozwalali się wciągać w nędzne i prostackie hulanki, w czasie których serca ich skrycie krwawiły; w ten sposób obaj, choć właściwie zaczęli spór o to, by nie uchodzić za głupców, stali się nimi naprawdę i za takich powszechnie byli uważani.

Drugą połowę swego czasu spędzali gniewni, leżąc w domu lub wykonując swoją robotę, przy czym szaleńczym pośpiechem i popędzaniem chcieli nadrobić stracony czas, ale odstraszała przez to wszystkich przyzwoitych i dobrych robotników.

W ten sposób podupadli szybko i nim minęło dziesięć lat, tkwili obaj po uszy w długach i jak bociany sterczeli na jednej nodze na skraju swych posiadłości, z których lada powiew mógł ich wymieść.

Jakkolwiek było, nienawiść między nimi rosła z każdym dniem, bo jeden drugiego uważał za sprawcę swego nieszczęścia, za odwiecznego wroga, za pozbawionego wszelkiego umiaru przeciwnika, którego sam diabeł chyba nasał mu na zgubę. Sплюwali, gdy się tylko z daleka ujrzeli, i nikomu z domowników nie wolno było zamienić ani słowa z żoną, dzieckiem czy służbą przeciwnika, pod groźbą najgorszej awantury. W tym zubożeniu i stałym pogarszaniu się warunków bytu żony ich zachowywały się rozmaicie. Żona Martiego, z natury dobra, nie wytrzymała upadku, umarła ze zgrzyoty, zanim córka ukończyła czternasty rok życia. Ale żona Manca przystosowała się do zmienionych warunków; niewiele jej brakowało, aby przekształcić się w złą towarzyszkę życia; wystarczyło tylko popuścić cugli kilku tkwiącym w niej od dawna kobiecym wadom, by wyrodziły się w zło. Łakomstwo przemieniło się w dziką zachłanność, jej wielomówność stała się z gruntu fałszywą i zakłamaną sztuką pochlebstwa i oszczerstwa, dzięki której mówiła stale coś wręcz przeciwnego, niż myślała, intrygowała przeciwko wszystkim i na każdym kroku oszukiwała nawet własnego męża. Wrodzona szczerłość, dawniej miła w niewinnej pogawędce, przerodziła się w bezwstyd, z którym uprawiała swoją fałszywą grę; tak więc, nie dzieląc z mężem jego cierpienie, jeszcze go okłamywała. Nie tylko nie poskramiała wybryków męża, lecz sama brała w nich udział, nie żałowała sobie niczego i wybujała jak rozłożyste zielsko na ruinie rozpadającego się domu. Toteż biednym dzieciom wiodło się bardzo źle; nie miały ani żadnej nadziei na lepszą przyszłość, ani radosnej i pogodnej młodości, jako że dokoła nich nie było nic prócz waśni i

troski. Weronce działo się na pozór gorzej niż Salemu; matka nie żyła, dziewczyna sama w pustym domu zdana była na tyranie dziedzicznego ojca. Gdy Weronka miała lat szesnaście, była już smukłą i zgrabną dziewczyną; jej ciemne włosy skręcały się w loki spadające aż na błyszczące brązowe oczy; ciemnoczerwona krew barwiła policzki smagłej twarzy i przechodziła w głęboką purpurę na świeżych wargach; była to uroda rzadka i wyjątkowa. Ognista radość życia i wesołość przepajały każdy nerw tej istoty skorej do śmiechu, zabawy i żartów, jeśli tylko warunki jako tako na to pozwalały, to znaczy jeśli nie ugięła się pod brzemieniem trosk i udreki. Ale troska zbyt często ją nawiedzała, dziewczyna dźwigała bowiem nie tylko ciężar rosnącej nędzy w domu, ale musiała także dbać o siebie chcąc wyglądać możliwie schludnie i czysto, mimo że ojciec nie dawał jej żadnych na to środków. Miała więc Weronka ogromny kłopot z jakim takim przyodzianiem swej wdzięcznej osoby, z trudem zdobywała każdą najskromniejszą odświętną sukienkę i każdą najlichszą chusteczkę. Dlatego też śliczne i wdzięczne to stworzenie czuło się pod każdym względem upośledzone i daleko mu było do jakiegokolwiek zarozumiałości. Chorobę i śmierć matki przeżywała Weronka już w pełni świadomie, a pamięć o tym nakładała trwale hamulce jej wesołej i żywej naturze. Toteż miły i wzruszający był to widok, kiedy mimo wszystko ożywiała się i uśmiechała przy lada przebłysku słońca.

Salemu wiodło się na pozór lepiej, był to bowiem piękny i silny chłopiec, który umiał się bronić; jego zewnętrzny wygląd sam przez się chronił go przed złym traktowaniem. Widział złą gospodarkę rodziców i pamiętał, że nie zawsze tak było; miał dobrze w pamięci dawny obraz ojca, gospodarza stanowczego, mądrego i spokojnego, tego samego człowieka, który teraz był pospolitym błaznem, piniaczem i próżniakiem, który chełpiąc się i ulegając atakom złości chodził fałszywymi i krętymi drogami i jak rak stale się cofał, miast iść naprzód. Nie podobało mu się to, i napelniało wstydem i troską, ale wobec braku doświadczenia nie umiał sobie wyjaśnić przyczyn tego stanu rzeczy. Matka jednak, by mieć większą swobodę działania i pozyskać sobie w synu stronnika, a także dla zadowolenia własnej próżności, otaczała go troskliwością, obdarzała go wszystkim, czego tylko pragnął, ubierała czysto, stroiła na pokaz i popierała wszelkie jego zachcianki. Chłopiec przyjmował to bez zbytnej wdzięczności, ponieważ matka za dużo przy tym mówiła i za dużo kłamała. Nie odczuwając radości chłopak leniwie i bezmyślnie robił wszystko, na co miał ochotę, nie było to jednak nic złego, ponieważ jak dotąd nie zepsuł go jeszcze przykład starszych; odczuwał młodzieńczą potrzebę, żeby być prostym, spokojnym i możliwie porządnym. Sali był prawie taki sam, jaki był w tym wieku jego ojciec, któremu fakt ten mimo woli narzucał szacunek dla syna; Manc, dręczony przez nieczyste sumienie i bolesne wspomnienia, szanował w synu swoją własną młodość.

Mimo swobody, z jakiej korzystał, Sali nie był szczęśliwy; czuł, że nie czeka go nic dobrego i że się niczego dobrego nie nauczy, bo w domu Manców od dawna nie było już mowy o jakiegokolwiek celowej i rozsądnej pracy. Jedyną jego pociechą była duma z własnej niezależności i uczciwości. Trwał więc w tej hardej dumie i odwracał oczy od obrazu swej przeszłości.

Jedynym przymusem, któremu się podporządkował, była wrogość ojca ku wszystkiemu, co nosiło lub przypominało choćby nazwisko Marti.

Wiedział o tym tylko tyle, że Marti wyrządził jego ojcu krzywdę i że w domu Martich panuje taka sama nienawiść względem nich; nie sprawiało mu więc trudności uważać Martiego i jego córkę za wrogów, sam też był ich nieprzyjacielem, jakkolwiek dość umiarkowanym.

Ale Weronka, o wiele nieszczęśliwsza niż Sali i bardziej w domu osamotniona, była mniej skłonna do wrogich uczuć i sądziła, że dobrze ubrany i na pozór szczęśliwy Sali odczuwa dla niej tylko pogardę. Dlatego kryła się przed nim i gdy tylko ukazał się gdzieś w pobliżu, oddalała się szybko, on zaś nie zadawał sobie nawet trudu, by na nią spojrzeć. Tak więc Sali

nie widział z bliska dziewczyny już od kilku lat i nawet nie wiedział, jak wygląda, od kiedy przestała być dzieckiem. A jednak interesowała go ogromnie i gdy mówiono o Martich, Sali mimo woli myślał tylko o córce, której obecnego wyglądu wprawdzie nie znał, ale której wspomnienie bynajmniej nie budziło w nim nienawiści.

Ojciec jego, Manc, pierwszy wyleciał z siodła, ponieważ nie mógł utrzymać się przy swojej zagrodzie. To „pierwszeństwo” zawdzięczał żonie, która pomagała mu w trwonieniu, i synowi, który także miał pewne potrzeby, podczas gdy Marti był jedynym użytkownikiem swego chwiejącego się królestwa, bo córka wprawdzie musiała ciężko pracować, ale nie wolno jej było mieć żadnych potrzeb. Mancowi nie pozostawało nic innego, jak pójść za radą swych seldwilskich opiekunów: przenieść się do miasta i otworzyć tam karczmę. Jest to zawsze bardzo smutny widok, gdy były rolnik, osiwiwały w polu, z resztkami mienia przenosi się do miasta, by otworzyć karczmę czy szynk jako ostatnią deskę ratunku – i staje się zawsze uśmiechniętym i uprzejmym karczmarzem, choć serce jego pełne jest goryczy. Dopiero gdy Mancowie się wyprowadzili, wyszło na jaw, do jakiego stopnia zubożeli; ładowali stare rozlatujące się graty, po których widać było, że od wielu lat nic nie odnowiono i nie sprawiono. Mimo to Mancowa, włożywszy najlepszy swój przydzwiek, siadła na szczycie fury z gratami i z miną pełną nadziei, już jako przyszła mieszczańka, spoglądała z pogardą na wieśniaków, którzy – pełni współczucia – obserwowali zza płotów ten żalorny korowód.

Mancowa bowiem obiecywała sobie, że gdy już osiadzie w dostatniej gospodzie, oczaruje całe miasto swą uprzejmością i sprytem i sama dokona tego, czego nie potrafi zdziałać jej ogłupiały małżonek.

Ale gospoda była nędznym, pokątnym szynkiem w odległej, wąskiej uliczce, gdzie zbankrutował właśnie poprzedni szynkarz; seldwilanie wydzierżawili to Mancowi, by wyciągnąć od niego jeszcze kilkaset talarów. Sprzedali mu też kilka beczulek wina wraz z urządzeniem gospody, składającym się z tuzina lichych białych karafek, z tyłuż szklanek i kilku sosnowych stołów i ławek, niegdyś malowanych na czerwono, ale teraz wyblakłych i odrapanych. Przed oknem skrzypiała na haku żelazna obręcz, w której ręka z blachy nalewała czerwone wino z kwarty do szklanki. Ponadto wisiała tam jeszcze nad drzwiami wejściowymi uschnięta gałąź ostrokrzewu, należąca także do wydzierżawionej przez Manca całości.

Manc nie był równie dobrej myśli jak żona; pełen żalu i złych przeczuć popędzał chude konie pożyczone od nowego właściciela swego obejścia. Ostatni mizerny parobek opuścił go już przed paru tygodniami. Gdy Manc odjeżdżał, ujrzał Martiego, który pełen szyderstwa i radości z krzywdy bliźniego kręcił się w pobliżu ulicy; Manc sklął go siarczyście, uważając go za jedynego sprawcę swojego nieszczęścia. Sali zaś, jak tylko pojazd ruszył, przyspieszył kroku i wyprzedził go znacznie; bocznymi drogami udając się do miasta.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Manc, gdy fura zatrzymała się przed szynkiem.

Żona przeraziła się, była to bowiem bardzo żalonna gospoda. Ludzie zebrali się szybko przy oknach i na progu swoich domów, aby obejrzeć nowego szynkarza ze wsi, i w poczuciu seldwilskiej wyższości robili miny wyrażające drwiące współczucie. Rozgniewana Mancowa z oczami pełnymi łez zląła z wozu i ostrząc sobie na zapas język wbiegła do domu, by się już tego dnia więcej nie ukazać; wstydziła się bowiem kiepskich gratów i zniszczonych łóżek, które wyładowywano. Sali wstydził się także, ale musiał pomagać i wraz z ojcem zrobili na uliczce niezwykły skład rupieci, gdzie dzieci bankrutów natychmiast rozpoczęły harce, kpiąc z wiejskich łachmaniarzy.

W domu wyglądało jeszcze żałośniej, czynił on wrażenie prawdziwie zbójeckiej jaskini; ściany były wilgotne, źle bielone; oprócz ciemnej i nieprzyjemnej izby gościnnej z czerwonymi ongiś stołami było tam jeszcze kilka lichych izdebek, w których poprzedni lokator pozostawił beznadziejny brud i śmietnik. Taki był początek – i tak już zostało. W ciągu pierwszych paru tygodni, szczególnie wieczorem, zdarzało się, że stół obsiadali gęsto

ludziska, którzy przyszedli tu z ciekawości, by poznać chłopca szynkarza i spróbować, czy nie dałoby się z niego trochę pokpić. Ale gospodarz nie był zbyt interesujący: niezgrabny, sztywny, nieuprzejmy i melancholijny, nie umiał się odpowiednio zachować i wcale się o to nie starał. Powoli i niezręcznie napełniał kubki i stawiał je przed gośćmi mruklawie, próbował nieraz coś powiedzieć, ale jakoś mu to nie szło. Tym gorliwiej zabierała się do rzeczy jego żona, której rzeczywiście udało się na przeciąg kilku dni przyciągnąć ludzi, choć z całkiem innych powodów, niż mniemała. Gospodyni, dość tęga kobieta, sporządziła sobie swoisty strój domowy, pewna, że wygląda w nim uwodzicielsko. Nosła wiejską szarą płócienną spódnice, bawełniany fartuch oraz stary zielony jedwabny kaftanik z okropnym białym kołnierzem. Dostatek już przerzedzone włosy zawijała na skroniach w śmieszne ślimaczki, zaś w warkocz z tyłu wpinała wysoki grzebień. Wierciła się i kręciła z wymuszonym wdziękiem, robiła słodkie minki, skakała i podrygiwała dokoła stołów i stawiając szklanke lub talerz z solonym serem, mówiła z uśmiechem:

– Czy tak? Tak? Ależ tak, panowie, wspaniale, panowie – i inne tego rodzaju głupstwa, bo mimo że miała ostry języczek, teraz nie mogła nic wymyślić do rzeczy, jako że była obca i nie znała ludzi. Seldwilanie, ci gorszego gatunku, którzy tu przesiadywali, zakrywali ręką usta dusząc się od śmiechu i kopiając się pod stołem, mówili:

– Do diaska, co za wspaniała baba!

– Pyszny babsztyl, niech mnie piorun trzaśnie – mówił drugi. – Warto było tu przyjść, aby coś takiego zobaczyć.

Mąż patrzył na to wszystko chmurnym wzrokiem i dając jej szturchańca w bok szeptał:

– Co ty wyprawiasz, stara krowo?

– Nie przeszkadzaj mi, stary niedołęgo – odpowiadała niechętnie – nie widzisz, że staram się i że umiem obchodzić się z ludźmi? Są to wprawdzie łobuzy to twoje towarzystwo, ale zobaczysz, wkrótce będzie bywać elegantsza klientela.

Wszystko to odbywało się przy świetle jednej lub dwóch łójówek; Sali wychodził w takich chwilach do ciemnej kuchni, siadał przy palenisku i płakał nad ojcem i matką.

Ale wkrótce gościom znudziło się widowisko, które urządzała im poczciwa pani Mancowa; zaczęli znowu bywać tam, gdzie czuli się lepiej i gdzie mogli się do woli wyśmiewać z dziwacznej pary karczmarzy; zjawiał się jeszcze niekiedy jakiś gość, wypijał szklanke wina i ziewając gapił się na ścianę albo wyjątkowo wpadała cała banda, by szybko przemijającym zamieszaniem i zgiełkiem omamić biednych ludzi. Było im źle w ciasnym. zaułku dokąd rzadko zaglądało słońce, i Manc – przyzwyczajony przecież do przebywania we wsi całymi dniami – nie mógł teraz wśród tych murów wytrzymać. Wpatrując się ponuro w sufit lub podłogę, myślał o wolnej przestrzeni pól, wybiegał przez wąskie drzwi domu, ale szybko cofał się, bo sąsiedzi zwracali już na niego uwagę nazywając go „złym gospodarzem”. Niedługo zubożeli doszczętnie i nie posiadali już dosłownie nic. Żeby kupić coś do zjedzenia, musieli czekać, aż ktoś przyjdzie i za parę groszy wypije trochę wina; gdy jednak gość zażądał kawałka kiełbasy lub czegoś podobnego, zdobywali to jedynie z największym trudem. Wkrótce zostało im już tylko trochę wina w wielkiej, starannie ukrywanej butli, którą potajemnie napełniali w innej knajpie, i tak bez wina i bez chleba musieli nadal grać rolę uprzejmych gospodarzy, choć sami porządnie nie zjedli. Często byli radzi, jeśli nikt nie przychodził, i sterczeli w tej swojej knajpie, nie mogąc z niej ani wyżyć, ani umrzeć. Ciężko doświadczona Mancowa zdjęła zielony kaftanik i spróbowała ponownej przemiany: tak jak przedtem rozwinęła swoje wady, tak teraz pozwoliła rozkwitnąć niektórym kobiecym zaletom, jako że mąż jej załamał się już pod ciężarem nędzy. Stała się bardzo cierpliwa i usiłowała podtrzymać na duchu męża, zaś syna kierować ku dobremu. Gotowa była do poświęceń, jednym słowem, wywierała na swój sposób dobry wpływ, który co prawda nie sięgał głęboko i niewiele pomagał, ale zawsze było to lepsze niż nic albo też wpływ ujemny, a w każdym razie pomagało przynajmniej tym biednym ludziom jakoś

przetrwąć, gdyż inaczej katastrofa nastąpiłaby o wiele wcześniej. Dawała na miarę swego rozumu dobre rady w sprawach dotyczących ich nędznej domowizny, gdy zaś okazywały się nic niewarte i nie doprowadzały do celu, znosiła pokornie złość i żal mężczyzn; jednym słowem, zestarzawszy się czyniła to wszystko, co z większą korzyścią dla swoich mogła czynić pierwiej.

Chcąc zdobyć coś do jedzenia i dla zabicia czasu, ojciec i syn wzięli się teraz do rybołówstwa i siedzieli z wędką nad rzeką. Było to zresztą główne zajęcie wszystkich seldwilskich bankrutów. Przy sprzyjającej pogodzie, kiedy ryby chętnie biorą, można było widzieć, jak tuzinami ciągną nad rzekę z wędką i wiaderkiem; idąc zaś łąką wzdłuż rzeki, co kilka kroków spostrzegało się – jednego w długim brunatnym żakiecie, z bosymi stopami zanurzonymi w wodzie, innego w niebieskim fraku ze spiczastymi ogonami i w starym filcowym kapeluszu zsuniętym na ucho. Dalej łowił ryby ktoś ubrany w podarty kwiecisty szlafrok – ponieważ nie miał innego stroju – trzymając w jednej ręce długą fajkę, a w drugiej wędkę. Za zakrętem rzeki stał na kamieniu stary, łysy brzuchacz, zupełnie nagi, i łowił ryby; mimo przebywania nad wodą stopy miał tak czarne, jak gdyby były obute. Obok każdego z nich stał garnuszek lub pudełko pełne wijących się glist, które rybacy wygrzebywali z ziemi. Najwięcej tych postaci stojących nad rzeką nieruchomo, niby galeria obrazów świętych i proroków, widziało się wtedy, gdy niebo pokrywało się chmurami, a zapadające ciemności i duchota zapowiadały deszcz.

Chłopi z wozami i bydłem mijali ich obojętnie, a szyprowie na rzece nawet ich nie dostrzegali, oni zaś cicho mruczeli, klnąc statki płoszące im ryby. Gdyby ktoś przed dwunastu laty przepowiedział Mancowi – wtedy gdy na pagórku nad brzegiem rzeki orał swym pięknym zaprzęgiem – że będzie kiedyś łowił ryby w rzędzie tych dziwaków, byłby się niechybnie obruszył. Także i teraz mijał ich chyłkiem, spiesząc w górę rzeki jak uparty cień z zaświatów, szukający dla pokuty samotnego miejsca nad mrocznymi wodami. Ani syn, ani ojciec nie mieli jednak cierpliwości, by stać z wędką, przypominali więc sobie sposoby łowienia ryb stosowane przez swawolnych chłopców, a mianowicie łowienie ich w strumieniu rękami.

Toteż tylko dla pozoru zabierali z sobą wędki; szli w górę strumienia, wiedzieli bowiem, że tam znajdują się dobre pstrągi, za które dużo płacą.

Tymczasem Martiemu, który pozostał we wsi, wiodło się również coraz gorzej, a ponadto nudził się okropnie, więc – miał pracować na swoim zaniedbanym polu – także zaczął łowić ryby i całymi dniami chlapał się w wodzie. Weronce nie wolno go było opuszczać, musiała nosić za nim wiadro i sprzęt rybacki po mokrych łąkach, strumieniach i kałużach, w pogodę czy w deszcz – zaniehbując przez to najpilniejsze zajęcia domowe. Oprócz niej nie było w domu nikogo, nikt też nie był potrzebny, bo Marti stracił już większość gruntów, zaś te, które jeszcze posiadał, albo uprawiał sam z córką byle jak, albo zaniehbował zupełnie.

Pewnego pochmurnego wieczoru, gdy szedł wzdłuż głębokiego i rwącego strumienia, w którym roilo się od skaczących pstrągów, natknął się niespodziewanie na swego wroga Manca, idącego przeciwległym brzegiem. Na jego widok wezbrał w nim straszliwy gniew i oburzenie, od lat już nie widzieli się z bliska, chyba tylko przed sądem, gdzie nie mogli sobie urągać; Marti zawołał więc teraz pełen złości:

– Co robisz tutaj, ty psie? Nie możesz siedzieć w swej nędznej dziurze, ty łachmaniarzu seldwilski?!

– Wkrótce sam zejdziesz na psy, łobuzie! – zawołał Manc. – Już i tak ryby łowisz, widocznie niewiele masz do stracenia.

– Milcz, łotrze! – wrzasnął Marti, gdyż w tym miejscu fale strumienia szumiały głośnie. – To ty wtrąciłeś mnie w nieszczęście.

A że teraz do szumu fal dołączył się szum wierzb przybrzeżnych, musiał Manc jeszcze głośnie. krzyknąć:

– Cieszyłbym się, gdyby tak było, ty nędzny durniu!

– O, psie! – zawołał Marti.

A Manc w odpowiedzi:

– Głupi cielak.

I każdy jak tygrys skakał wzdłuż brzegu, szukając przejścia na przeciwną stronę. Marti był bardziej zawzięty niż Manc, bo sądził, że tamten, jako właściciel karczmy, przynajmniej je i pije do syta i wiedzie przyjemniejszy żywot niż on, nudzący się śmiertelnie w zniszczonym obejściu. Manc, równie rozżalony, szedł przeciwległym brzegiem, za nim syn. Nie słuchając kłótni Sali, zdziwiony, spoglądał na Weronkę, która szła za ojcem paląc się ze wstydu, z oczami wbitymi w ziemię. Ciemne kędziory opadały jej na twarz; w jednej ręce niosła drewniany kubek, w drugiej buciki i pończochy; sukienkę ze względu na wilgoć podkasła. Kiedy Sali ukazał się na przeciwnym brzegu, opuściła wstydliwie sukienkę i była potrójnie udręczona – przytrzymywaniem sukienki, niesieniem rzeczy i wstydem z powodu kłótni. Gdyby podniosła głowę i spojrzała na Salego, zauważyłaby, że nie jest ani dumny, ani wytworny, lecz równie jak ona zgnębiony. Podczas gdy Weronka, zmieszana i zawstydzona, patrzyła w ziemię, Sali widział tylko jej postać smutną i pokorną, a mimo nędzy tak uroczą i gibką. Nie zauważyli nawet, że ojcowie ich nagle ucichli i z wzrastającą zaciekłością spieszyli ku bliskiej kładce, łączącej oba brzegi strumyka. Zaczęło się błyskać i melancholijny krajobraz nadwodny rozjaśniał się co chwila niesamowitym światłem; wśród czarnych chmur rozlegał się tępy łoskot grzmotów i zaczęły padać ciężkie krople deszczu, gdy dwaj rozbestwieni chłopcy wbiegli równocześnie na wąski, trzeszczący pod ich stopami mostek i jęli okładać się pięściami po bladych, drżących z oburzenia i złości twarzach.

Jest to zawsze widok nad wyraz niemiły i przykry, gdy ludzie skądinąd stateczni biją się z obcymi, czy to dla własnej obrony, czy też z lekkomyślności i swawoli; ale są to niewinne igraszki w porównaniu z głębokim upadkiem dwóch ludzi starych, znających się dobrze od dawna, którzy rzucają się na siebie i okładają gołymi pięściami, o władnięci najgłębszą wrogością wynikłą z całej długiej historii ich życia. To właśnie działo się teraz z tymi dwoma osiwiałymi ludźmi; być może, że przed pięćdziesięciu laty jako mali chłopcy bili się po raz ostatni, ale w ciągu pięćdziesięciu lat nie dotknęli się nigdy, z wyjątkiem tych dobrych chwil, gdy witali się podaniem ręki, a i te chwile były nieliczne, jako że byli oschli i dumni z natury.

Zadawszy sobie kilka uderzeń zatrzymali się i drżąc z zaciekłości mocowali się z sobą w milczeniu, tylko od czasu do czasu postękując, zgrzytając zębami i usiłując zrzucić się nawzajem poprzez trzeszczącą poręcz do wody. Wtedy nadbiegły dzieci i stały się świadkami tej gorszej sceny. Sali przyskoczył jednym susem, by poprzeć ojca i pomóc mu w pokonaniu znieawidzonego przeciwnika, który i tak wydawał się słabszy i bliski upadku. Lecz Weronka rzuciwszy wszystko podbiegła również i z przeciągłym krzykiem objęła ojca, by go zasłonić, ale jemu przeszkadzało to tylko i utrudniało walkę. Łzy spływały strumieniami z oczu dziewczyny; błagalnie spojrzała na Salego, który chciał właśnie chwycić jej ojca i ostatecznie pokonać. Mimo woli objął swojego ojca, usiłując mocnym ramieniem odciągnąć go od przeciwnika i uspokoić, toteż walka na chwilę ustała i cała grupa chwiała się to w jedną, to w drugą stronę. Wcisnąwszy się w ten sposób między starych, młodzi ludzie znaleźli się obok siebie; w tej chwili jaskrawy promień przedwieczornego słońca przebił chmury, oświetlił twarzyczkę dziewczęcia i Sali zajrzał w to tak dobrze sobie znane, tak bardzo jednak zmienione i o tyle piękniejsze oblicze. W tej samej sekundzie Weronka dostrzegła jego zdumienie i mimo trwogi obdarzyła go uśmiechem krótkim i szybkim. Lecz Sali opanował się spostrzegłszy, że ojciec usiłuje się wyrwać; w końcu mocną postawą i błagalnymi słowami udało mu się odciągnąć go od wroga. Obaj starzy ciężko dyszeli odwracając się od siebie i jęli znowu krzyczeć i uragać; dzieci nie śmiały prawie oddychać i milczały jak zakłęte; ale przy rozstaniu, niezauważeni przez starych, młodzi podali sobie szybko ręce, wilgotne i chłodne od wody i ryb.

Poważnione partie rozeszły się każda w swoją stronę. Chmury skupiły się na nowo, ściemniało się coraz bardziej i deszcz zaczął lać strumieniami. Manc szedł przed siebie ciemnymi, mokrymi drożynami wśród ulewnego deszczu, skulony, z rękami w kieszeniach, z drżącą jeszcze twarzą, a niewidoczne łzy spływały mu na zmierzwioną brodę; pozwalał im spływać, by się ich ocieraniem nie zdradzić przed synem, lecz ten nie widział nic, szedł zagubiony w obrazach szczęśliwości, nie widział deszczu ani burzy, ciemności ani nędzy. Lekko, jasno i ciepło było mu na duszy, czuł się bogaty i bezpieczny jak królewicz. Widział ciągle przelotny uśmiech na pięknej twarzy tuż koło jego własnej i teraz dopiero, po upływie pół godziny, odpowiadał nań w noc i wichurę uśmiechem pełnym miłości; spośród burzy i ulewy wyłaniał się obraz ukochanego oblicza i zdawało się chłopcu, że Weronka ten jego uśmiech dostrzega i przyjmuje.

Na drugi dzień ojciec jego czuł się rozbity i nie chciał opuścić domu. Cała sprawa wraz z długoletnią nędzą przybrała dzisiaj nową, wyraźniejszą postać, rozrosła się ponuro w dusznym powietrzu spelunki; mąż i żona krążyli bladzi i trwożni dokoła tego upiora; wlekli się z szynkowni do ciemnych izdebek, z izdebek do kuchni, a potem znowu do szynkowni, dokąd nie zaglądał już żaden gość. W końcu każde z nich wcisnęło się w swój kąt i przez cały dzień wiedli nużące, bezcelowe spory i czynili sobie nawzajem wyrzuty, przy czym zasypiali niekiedy, dręczeni niespokojnymi, w złym sumieniu poczętymi snami, z których się ciągle na nowo budzili. Tylko Sali nic z tego nie widział i nie słyszał, gdyż myślał jedynie o Weronce. Czuł się nie tylko niezmiernie bogaty, ale jak gdyby nauczył się nagle czegoś wspaniałego, jak gdyby zdobył jakąś niewymownie piękną i dobrą wiedzę, gdyż jasno uświadamiał sobie to, co wczoraj przeżył. Wiedza ta była jakby darem niebios i Sali nie wychodził z błogiego dla niej podziwu, a mimo to zdawało mu się, że właściwie od dawien dawna wiedział to, co napelniało go teraz tak cudowną słodyczą. Nic bowiem nie może się równać z bogactwem i tajemniczością szczęścia, które przychodzi do człowieka w tak jasnej i konkretnej postaci, ochrzczonej przez księdza i posiadającej swoje własne imię – które brzmi jakże inaczej niż wszystkie imiona świata.

Tego dnia Sali nie czuł się wcale gnuśny, nieszczęśliwy, ubogi i pozbawiony nadziei na przyszłość. Przeciwnie: bezustannie, godzina za godziną, wyobrażał sobie twarz i postać Weronki; ale wśród tego podniecającego zajęcia zatracił się niemal całkowicie kształt przedmiotu jego rozmyślań. Salemu wydawało się w końcu, że nie wie dobrze, jak Weronka wygląda; zachował oczywiście w pamięci ogólny obraz, ale nie potrafiłby go opisać. Obraz ten widział ciągle przed sobą i odczuwał jego piękno; wyobrażał ją sobie jednak jak coś, co się raz tylko widziało, co człowiekiem całkowicie zawładnęło, ale czego się jeszcze nie zna dokładnie, i z wielkim upodobaniem przypominał sobie rysy dziewczynki dobrze kiedyś znanej, ale właściwie nie tej, którą widział wczoraj.

Gdyby Weronki już nigdy nie miał zobaczyć, ze wspomnień złożyłby na nowo wizerunek kochanej twarzy i nie brakłoby w nim ani jednego rysu. Ale teraz wspomnienia chytrze i uparcie odmawiały posłuszeństwa, ponieważ oczy domagały się swoich praw i rozkoszy. Gdy więc po południu słońce ogarnęło swymi ciepłymi i jasnymi promieniami górne piętra czarnych domów, Sali wymknął się z bramy w kierunku swego starego gniazda rodzinnego. Teraz dopiero wydało mu się ono niebiańską Jerozolimą o dwunastu błyszczących bramach, która kazała jego sercu bić mocniej, gdy się do niej zbliżał.

Po drodze natknął się na ojca Weronki zdążającego widocznie ku miastu. Wygląd miał zdziczały i zaniedbany, jego osiwiła broda była od dawna nie strzyżona, wyglądał jak mściwy chłop bankrut, który przetrwoniwszy własny zagon myśli o tym tylko, by krzywdzić innych. Mimo to Sali mijając go spoglądał na niego nie z nienawiścią, lecz z trwogą i nieśmiałością, jak gdyby życie jego było w rękach tego człowieka, którego wołałby raczej błagać o nie niż je przemocą zdobywać.

Ale Marti zmierzwszy go złym spojrzeniem od stóp do głów poszedł swoją drogą. Sali

był rad z tego i widząc, że stary opuszcza wieś, zdał sobie teraz jaśniej sprawę, co go właściwie tu ciągnęło. Tak długo krążył dokoła po dobrze sobie znanych ścieżkach, dopóki ukrytymi uliczkami nie doszedł do miejsca znajdującego się naprzeciw domu i obejścia Martich. Od wielu lat nie widział tego miejsca z bliska, bo nawet wtedy, kiedy jeszcze mieszkali we wsi, unikali wrogich opłotków. Dlatego Sali był teraz zdziwiony tym, co przecież już przeżył raz w domu rodzicielskim, i spoglądał ze zdumieniem na spustoszenie, które miał przed sobą. Marti stracił już wszystkie swoje pola; nie posiadał nic oprócz domu z podwórkiem, kawałka ogrodu i zagonu na pagórku nad rzeką, przy którym uparcie trwał najdłużej. Ale nie było już mowy o porządnej uprawie tej ziemi. Na roli, na której niegdyś, gdy nadchodziły żniwa, tak pięknie falował równy łąn zboża, zasiano teraz bezładnie resztki nasion wygrzebanych ze starych pudełek i podartych torebek; rosły tam buraki, kapusta i nieco kartofli, tak że zagon wyglądał jak zaniedbany warzywnik lub dziwaczna kolekcja jarzyn potrzebnych do życia z dnia na dzień: tu można wyrwać garść buraków, gdy się jest głodnym i nie ma nic lepszego, tam wykopać parę kartofli lub wyciąć główkę kapusty, a reszcie pozwolić zdziczeć lub zgnieć. Każdy, kto chciał, chodził po tym polu i piękny szmat ziemi wyglądał teraz niemal tak samo jak ongiś bezpański ugór, ów załazek całego zła. Toteż i dokoła domu nie było nawet śladu jakiegokolwiek gospodarki. Stajnia była pusta, drzwi wisiały na jednym zawiasie, zaś niezliczone pająki krzyżaki, wyrosłe podczas lata, rozpiwały błyszczące w słońcu przedziwo przed ciemnym wejściem. Na wrotach otwartej stodoły, dokąd zajeżdżały ongi plony żyznej ziemi, wisiał kiepski sprzęt rybacki jako dowód dzikiego rybołówstwa. Na podwórzu nie było ani kury, ani gołębia, ani nawet psa czy kota. Jedynie studnia miała jeszcze cechy życia, ale woda nie dopływała już do rury, lecz wytryskiwała przez szparę tuż nad ziemią, rozlewała się dokoła, tworząc wszędzie małe kałuże i czyniąc ze studni najwymowniejszy symbol lenistwa i upadku. Ojciec mógłby nie wysilając się zbytnio zatkać dziurę w studni i naprawić rurę, a tymczasem Weronka musiała się bardzo namęczyć, by zdobyć czystą wodę, pranie zaś urządziła w płytkich kałużach dokoła, nie mogąc używać zeschniętego i popękanego koryta. Sam dom przedstawiał równie żalospny widok; szyby w oknach były w wielu miejscach wybite i zaklejone papierem, mimo to w obrazie ogólnego upadku były jeszcze czymś najprzyjemniejszym. Nawet te stłuczone bowiem były czyściutko umyte, nieomal wypolerowane, i błyszczały tak jasno, jak oczy Weronki, które w bezbrzeżnej nędzy musiały jej zastąpić wszystkie stroje. I tak jak kędzierzawe włosy i czerwono-żółte perkalowe chusteczki uwydatniały blask oczu Weronki, tak błyszczące okienka stroiły się w zielone dzikie pnącze obrastające dom, w chwiejące się na wietrze bujne pędy fasoli oraz w pachnący gąszcz czerwonożółtego laku. Fasola trzymała się jako tako już to na starych grabiach, już to na wetkniętej w ziemię włosiem do góry szczotce, to znów na zżartej przez rdzę żelaznej halabardzie czy jak tam się nazywało to, co dziadek Weronki nosił kiedyś jako wachmistrz, a co teraz z konieczności służyło jako tyka do fasoli, gdzie indziej znów jej wąsy wspinały się wesoło po spróchniałej drabinie, która od niepamiętnych czasów stała oparta o dom, a zwisające pnącze zaglądały do czystych okienek, podobnie jak kędzierzawe włosy Weronki zaglądały w jej oczy.

Obejście to, raczej malownicze niż zagospodarowane, leżało nieco na uboczu i nie miało w pobliżu sąsiadów; w tej chwili też nie widać było żywej duszy, Sali więc czując się bezpieczny oparł się o starą stodółkę, oddaloną o jakie trzydzieści kroków, i nieustannie spoglądał ku cichemu, pustemu domostwu. Długo już tak stał i patrzył, gdy nagle Weronka wyszła z domu, zamyślona, zapatrzona przed siebie, jak gdyby wszystkie jej myśli skupiły się dokoła jakiegoś jednego, odległego punktu. Sali nie poruszał się i nie odrywał od niej wzroku. Weronka w końcu spojrzała przypadkiem w tym kierunku i dostrzegła go. Patrzyli na siebie przez chwilę, jak gdyby ujrzeli zjawę – aż Sali otrząsnął się wreszcie i powoli przeszedł przez ulicę i dziedziniec ku Weronce. Gdy zbliżył się do dziewczyny, ona wyciągnęła ku niemu ręce i zawołała:



– Sali!

Patrząc bez przerwy w twarz dziewczyny pochwycił jej rękę. Łzy potoczyły się z jej oczu i rumieniąc się mocno pod jego wzrokiem spytała:

– Czego tu chcesz?

– Tylko ciebie zobaczyć – odrzekł. – Czy nie możemy być znowu przyjaciółmi?

– A nasi ojcowie? – zapytała Weronka odwracając zapłakaną twarzyczkę, ponieważ nie miała wolnych rąk, by ją zakryć.

– Cóż my jesteśmy winni temu, co się stało? – rzekł Sali. – Może nam się uda zwalczyć biedę, jeśli my dwoje pogodzimy się i będziemy sobie życzliwi.

– Nic z tego nie będzie – odrzekła Weronka z głębokim westchnieniem. – Idź z Bogiem, Sali.

– Jesteś sama? Czy mogę wejść na chwilę? – zapytał.

– Ojciec powiedział, że idzie do miasta, by w jakiś sposób dokuczyć twojemu ojcu, ale wejść ci nie wolno, bo później może nie mógłbyś wyjść niepostrzeżenie. W tej chwili jest spokojnie, nikogo nie ma na drodze, więc proszę cię, odejdz zaraz.

– Nie, tak nie odejdę, od wczoraj ciągle tylko o tobie myślę i nie mogę odejść z niczym. Musimy pomówić z sobą, choćby godzinę, choćby pół godziny, koniecznie.

Weronka zastanawiała się chwilę, potem powiedziała:

– Wychodzę co wieczór na nasz zagon po jarzyny, wiesz który – mamy teraz tylko ten jeden. Na pewno nie będzie tam nikogo, bo ludzie znają teraz gdzie indziej. Jeśli chcesz, przyjdź tam, ale teraz idź i uważaj, by cię nikt nie zobaczył, bo wprowadzie ludzię się z nami już nie zadają, ale mimo to narobiliby plotek i ojciec zaraz by się o tym dowiedział.

Rozłączyli teraz ręce, które się natychmiast znowu spotkały, i oboje zapytali równocześnie:

– Co u ciebie słychać?

Zamiast odpowiedzi zapytali powtórnie o to samo, odpowiedź zaś można było wyczytać w ich wymownych oczach, bo zwyczajem zakochanych nie mogli znaleźć słów i nie powiedziawszy sobie nic więcej rozeszli się na poły szczęśliwi, na poły smutni.

– Wkrótce przyjdę, idź tam zaraz – zawołała za nim Weronka.

Sali pospieszył na ciche, piękne wzgórze, gdzie leżały dwa zagony; wspaniałe lipcowe słońce, białe obłoki przeciągające nad falującym zbożem, błyszcząca modra rzeka szumiąca u stóp pagórka – wszystko to, pierwszy raz po wielu latach, napawało go znowu nie troską, lecz szczęściem i zadowoleniem; rzucił się jak długi w przejrzysty półcień zboża, graniczącego ze zdziczałym polem Martiego, i szczęśliwy patrzył w niebo. Chociaż zaledwie kwadrans czekał na Weronkę i o niczym innym nie myślał, tylko o swoim szczęściu i jego imieniu, to – gdy nagle i niespodziewanie pochyliła się nad nim z uśmiechem – zerwał się z radosnym przestrawem i zawołał:

– Weronisium!

Cicho i z uśmiechem podała mu obie dłonie i trzymając się za ręce poszli wzdłuż szumiącego zboża w dół pagórka nad rzekę i z powrotem; niewiele ze sobą rozmawiając przemierzyli tę drogę dwa lub trzy razy, cisi, spokojni i szczęśliwi. Zgodna ta para przypominała teraz konstelację gwiazdną, wschodzącą i zachodzącą nad słonecznym grzbietem wzgórza, jak to czyniły niegdyś stateczne pługi ich ojców. Ale gdy w pewnej chwili oderwali wzrok od modrych bławatów, ujrzeli nagle przed sobą inną, ciemną gwiazdę, czarniawego człowieka, o którym nie wiedzieli, skąd się wziął, niepostrzeżony. Leżał zapewne w zbożu; Weronka wzdrygnęła się, Sali, strwożony, powiedział:

– Czarny skrzypek.

Istotnie, człowiek idący przed nimi niósł pod pachą skrzypce ze smyczkiem i był rzeczywiście całkiem czarny: oprócz czarnego filcowego kapelusza i brudnego czarnego kaftana miał także czarne jak smoła włosy i niestrzyżoną brodę, twarz jego i ręce również

były czarne; uprawiał bowiem różnego rodzaju rzemiosła – głównie lutowanie kotłów – pomagał też węglarzom i smolarzom leśnym; ze skrzypcami zaś chodził tylko tam, gdzie spodziewał się dobrego napitku, gdzie się chłopci wesoło bawili i świętowali.

Sali i Weronka szli za nim cichutko jak myszki, myśląc, że zejdzie z pola i zniknie nie oglądając się na nich. Zdawało się, że istotnie tak będzie, bo skrzypek udawał, że ich nie widzi. Sali i Weronka, jak urzeczeni, nie śmieli opuścić wąskiej ścieżki i mimo woli szli w ślad za niesamowitą postacią; tak doszli aż na koniec pola, gdzie złożona bezprawnie kupa kamieni ciągle jeszcze pokrywała sporny róg gruntu. Wyrosła tam niezliczona ilość głogów i polnych maków, od których mała górka była teraz płomiennoczerwona. Nagle czarny skrzypek jednym susem wskoczył na okryty czerwienią kopczyk kamieni, odwrócił się i rozejrzał dokoła. Młodzi przystanęli i zmieszani patrzyli na ciemną postać człowieka; nie mogli go minąć, bo droga prowadziła ku wsi, a nie chcieli także w jego oczach zawracać. On spojrzał na nich bystro i zawołał:

– Znam was, jesteście dziećmi tych, którzy mi ukradli tę ziemię. Cieszę się żeście zeszli na dziady, a na pewno dożyję jeszcze waszego pogrzebu. Przypatrzcie mi się dobrze, wróbelki, czy podoba się wam mój nos?

Miał w istocie nos straszliwy. Sterczał w suchej i czarnej twarzy jak mularska kątownica, a właściwie podobny był raczej do potężnego orczyka czy kłonicy wbitej w twarz. Pod nim był mały, okrągły otwór ust, które ściągały się i wykrzywiały nieustannie w ciągłym sapaniu, gwizdaniu i syczeniu. Mały filcowy kapelusik wyglądał niesamowicie; nie był bowiem ani okrągły, ani spiczasty, lecz tak dziwacznie uformowany, że zdawał się co chwila zmieniać kształt, jakkolwiek tkwił na głowie nieruchomo; w oczach chłopca widać było jedynie białka, ponieważ źrenice poruszały się bez przerwy, z błyskawiczną szybkością skacząc jak zające to w lewo, to w prawo.

– Przyjrzyjcie mi się – ciągnął dalej – ojcowie wasi znają mnie dobrze i każdy we wsi, kto tylko spojrzy na mój nos, wie, kim jestem. Ogłosił przed laty, że na dziedzica tego zagonu czeka kupa pieniędzy; zgłaszałem się ze dwadzieścia razy, ale nie mam metryki chrztu i świadectwa przynależności do gminy, a moi przyjaciele, świadkowie mego urodzenia, również nie mają prawomocnych świadectw; tak więc termin upłynął i zostałem pozbawiony tego krwawego grosza, z którym mógłbym stąd wywędrować. Błagałem waszych ojców, aby zgodnie ze swym sumieniem poświadczyli, a wtedy musiano by uznać mnie za spadkobiercę; ale oni przepędzili mnie, a teraz ich także diabli wzięli. Takie są koleje tego świata, nie mam nic przeciwko temu, proszę bardzo. A jeśli zechcecie tańczyć, mogę wam przygrywać na skrzypeczkach.

Z tym słowy zeskoczył na drugą stronę kopczyka i skierował się ku wsi, gdzie pod wieczór zwożono błogosławione żniwo, a ludzkie serca pełne były nadziei. Po jego zniknięciu młoda para, smutna i zniechęcona, usiadła na kamieniach. Rozłączyli ręce i oparli na nich zatroskane głowy; zjawienie się skrzypka oraz jego słowa wyrwały ich ze szczęśliwego zapomnienia, w którym jak dzieci byli pogrążeni. Stanęli teraz na twardym gruncie rzeczywistości; przygasła ich pogoda – światło ich życia, a serca stały się ciężkie jak kamienie. Ale Weronce przypomniała się niespodzianie dziwaczna postać i nos skrzypka.

Roześmiała się w głos, wołając:

– Ten biedak wygląda bardzo śmiesznie! Co za nos. – I taka najmiłsza słoneczna wesołość rozlała się po twarzy dziewczyny, jak gdyby czekała, że nos skrzypka przebijie ciężkie chmury.

Sali patrzył na Weronkę i widział tę radość. Lecz Weronka nie pamiętała teraz o przyczynie i śmiała się już na własny rachunek, prosto w twarz Salego. Ten, zaskoczony i zdziwiony, patrzył z uśmiechniętymi mimo woli ustami, w jej oczy, jak głodny patrzy na słodką, pszenną bułkę, i zawołał:

– Dalibóg, Weronisiu, jakaś ty piękna!

Weronka śmiała się jeszcze serdeczniej, śmiech zaś wydobywał się z jej krtani krótkimi, dźwięcznymi i figlarnymi tonami, które wydawały się biednemu chłopcu najcudowniejszym śpiewem słowika.

– Ach, ty czarownico! – zawołał. – Gdzieś się tego nauczyła? Co za sztuki diabelskie wyprawiasz?

– O, mój Boże – rzekła Weronka przymilnym głosem, biorąc go za rękę. – To nie są diabelskie sztuczki. Od tak dawna się już nie śmiałam. Czasem, kiedy byłam całkiem sama, zaśmiałam się tam z czegoś; ale to nie był prawdziwy śmiech; teraz chciałabym zawsze i wiecznie śmiać się do ciebie. Śmieję się, gdy cię widzę, a chciałabym cię widzieć zawsze i wiecznie; a ty, czy lubisz mnie choć trochę?

– O, Weronisiu – rzekł Sali i spojrzał w jej oczy ze szczerym oddaniem. – Nigdy nie oglądałem się za dziewczętami, tak jakbym przeczuwał, że kiedyś ciebie pokocham; anim tego chciał, anim wiedział, a wciąż o tobie myślałem.

– A ja o tobie – powiedziała Weronka – a to znaczy o wiele więcej, bo ty nigdy na mnie nie spojrzaleś i nie widziałeś, co ze mnie wyrosło, a ja widywałam cię z daleka, a po kryjomu nawet i z bliska, i zawsze wiedziałam, jak wyglądasz. Czy pamiętasz jeszcze, jak często przychodziliśmy tutaj jako dzieci? Pamiętasz nasz wózeczek? Jacy byliśmy wtedy mali, jak to już dawno temu, ktoś by pomyślał, że jesteśmy już bardzo starzy.

– Ile masz lat – spytał Sali radośnie – chyba jakie siedemnaście?

– Siedemnaście i pół – odrzekła Weronka. – A ty? Wiem już, wkrótce skończysz dwadzieścia.

– Skąd wiesz? – spytał Sali.

– Myślisz, że ci powiem.

– Więc nie chcesz powiedzieć?

– Nie.

– Na pewno nie?

– Nie, nie.

– Musisz mi powiedzieć.

– Chcesz mnie zmusić?

– No, no, zobaczymy.

I Sali prawil dalej podobne niedorzeczności, a jednocześnie ręce jego, niby to chcąc skarcić piękną dziewczynę, naprzykrzały się jej swymi niezręcznymi pieścizotami. I ona, broniąc się, pobłażliwie ciągnęła tę naiwną sprzeczkę, która obojgu nie wydawała się głupia, lecz pełna słodyczy i dowcipu. W końcu Sali, ośmielony, zawładnął rękami Weronki i rzucił ją na kwiecie maku. Leżała i mrużyła w słońcu oczy; policzki jej pałały purpurą, rozwarte usta ukazywały dwa rzędy lśniących, białych zębów. Delikatne ciemne brwi zlewały się w piękną linię, młode piersi falowały śmiało pod czworgiem splecionych rak, które to pieściły się, to znów walczyły ze sobą.

Sali nie posiadał się z radości widząc przed sobą to smukłe i piękne stworzenie; uważał je za swoje i wydawało mu się, że jest bogaty jak król.

– Te same białe ząbki – śmiał się. – Czy pamiętasz, jak częstośmy je wtedy liczyli? Potrafisz policzyć je teraz?

– To nie te same, dzieciaku, tamte już dawno wypadły.

Sali z całą naiwnością chciał wznowić ową zabawę z liczeniem błyszczących perełek, ale Weronka zacisnęła nagle czerwone usteczka, usiadła i zaczęła pleść wieniec z maków, którym przystroiła następnie głowę. Wieniec był szeroki i bogaty, smagła dziewczyna wyglądała w nim niezwykle uroczco. Biedny Sali trzymał w ramionach coś tak pięknego, że bogacze drogo by zapłacili, gdyby mogli oglądać to wymalowane na obrazie w swoim domu. Ale ona zerwała się i po chwili zawołała:

– O, nieba, jak tu gorąco! Siedzimy tu jak głupcy i smażymy się. Chodź, kochany,

usiądziemy w wysokim zbożu.

Wśliznęli się w zboże tak zgrabnie i ostrożnie, że nie pozostawili prawie śladu po sobie; zbudowali sobie ciasne schronienie wśród złotych kłosów, które sterczały wysoko nad ich głowami; siedząc tak, widzieli nad sobą jedynie ciemnoniebieskie niebo – i cały świat przestał dla nich istnieć. Objęli się i całowali nieustannie i tak długo, aż błogie odczuli znużenie czy jak nazwać to, co czują zakochani, gdy pocałunki ich na przeciąg jednej lub dwu minut zamierają; jest to przeczucie przemijania wszelkiego życia – w chwili najwyższego upojenia i rozkwitu. Słyszeli wysoko nad sobą śpiew skowronków i szukali ich na niebie bystrym wzrokiem; gdy zdawało się im, że mignął któryś w słońcu jak nagle rozbłysła lub spadająca gwiazda na błękitnym niebie, całowali się w nagrodę, zwodząc się i oszukując przy tym nawzajem co niemiara.

– Widzisz, widzisz tam skowronka? – szeptał Sali, a Weronka odpowiadała równie cicho:

– Słyszę go dobrze, ale nie widzę.

– Tak, tak, uważaj, tam, gdzie ta biała chmurka, nieco na prawo od niej – i oboje wypatrywali gorliwie i otwierali na chwilę dzióbki, jak młode przepiórki w gnieździe, by je wkrótce znowu połączyć, gdy im się zdawało, że dostrzegli skowronka. Nagle Weronka rzekła:

– Więc to rzecz postanowiona: jestem teraz twoją dziewczyną, a ty jesteś moim chłopcem, czy tak?

– Tak jest – odpowiedział Sali. – Chyba tak jest.

– A jak ci się podoba ta twoja dziewczyna? – pytała Weronka. – Co to za jedna? Co mógłbyś o niej powiedzieć?

– To bardzo ładne stworzenie – rzekł Sali. – Ma brązowe oczy, czerwone usta i biega na dwóch nogach; ale myśli jej są mi tak samo nieznanne, jak myśli papieża w Rzymie. A co ty mogłabyś powiedzieć o swoim chłopcu?

– Ma niebieskie oczy, niegodziwe usta i silne, bezczelne ramiona; ale myśli jego są mi tak samo nieznanne, jak myśli tureckiego cesarza.

– To prawda – rzekł Sali – znamy się mniej, niż gdybyśmy się nigdy nie widzieli; przez ten długi czas, odkąd jesteśmy dorośli, staliśmy się sobie obcy. Powiedz, dziecino, co działo się tymczasem w twojej główce?

– Ach, niewiele. Tysiące żartów chciało się w niej urodzić, ale nic z tego nie wyszło, bo było mi zawsze bardzo smutno.

– Moje biedactwo – powiedział Sali – ale teraz już tylko śmiejesz się z tego wszystkiego, prawda?

– Nieraz się o tym przekonasz, jeśli będziesz mnie mocno kochał.

– Kiedy zostaniesz moją żoną?

Weronka zadrżała lekko przy tych słowach i wtuliła się głębiej w jego ramiona całując go długo i czule. Łzy ukazały się w jej oczach i oboje posmutnieli, bo przypomnieli sobie swą beznadziejną przyszłość i wrogość rodziców.

Weronka westchnęła i rzekła:

– Chodź, muszę już iść.

Gdy wstali i trzymając się za ręce wyszli z ładu zboża, spostrzegli przed sobą rozglądającego się ojca Weronki. Marti spotkawszy chłopca, zaciekawiony, z małostkową bystrością próżniaczej nędzy, zaczął się zastanawiać, po co Sali idzie do wsi; wspominając wypadki wczorajszego dnia i ciągle jeszcze idąc w kierunku miasta wpadł w końcu na właściwy trop; z samej urazy i nieznajdującej ujścia złości powziął podejrzenie, które jednak nie od razu przybrało określoną postać; dopiero znalazłszy się na ulicach Seldwili zawrócił nagle ku wsi, gdzie na próżno szukał córki w domu, w obejściu i wśród okolicznych opłotków. Z wzrastającą ciekawością popędził na pole i tu ujrzał porzucony koszyk, w którym Weronka przynosiła zwykle do domu jarzyny; ale nie widział jej nigdzie; rozglądał

się właśnie po łańcuchach sąsiada, gdy wyłoniły się z nich wystraszone dzieci. Stały jak skamieniałe, a Marti, z szarą jak ołów twarzą, też stał tylko i ogarniał ich złym spojrzeniem, potem jak szalony zaczął im straszliwie wygrażać i kląć, usiłując w pasji schwycić chłopca, by go udusić. Sali wywinął się i cofnął o kilka kroków, przerażony tą dziką furją, doskoczył jednak natychmiast, widząc, że stary miast niego schwycił drżącą dziewczynę, uderzył ją w twarz, tak że czerwony wianek spadł z jej głowy, i owinał sobie jej włosy dokoła dłoni, chcąc ją powlec za sobą i bić dalej. Sali, w trwodze o Weronkę i pod wpływem nagłego gniewu, bez namysłu, podniósł kamień i uderzył starego w głowę. Marti zatoczył się, a potem padł nieprzytomny na stos kamieni, pociągając za sobą rozpaczliwie krzyczącą córkę. Sali wypłatał jej włosy z dłoni nieprzytomnego i podniósł ją; potem stanął nieruchomo jak posąg, bezradny i niezdolny do żadnej myśli. Dziewczyna ujrawszy ojca, który leżał jak martwy, przeciągnęła dłońmi po swojej pobladłej twarzy i wzdrygnawszy się spytała:

– Czyś ty go zabił? – Sali skinął głową milcząco, a Weronka krzyknęła:

– O, Boże, Boże! Mój ojciec, mój biedny ojciec!

I w najwyższej rozpaczycy przypadła do niego, podnosząc głowę zranionego, na której jednak nie było śladów krwi. Po chwili wypuściła ją z rąk, Sali usiadł po drugiej stronie ciała – i oboje, cisi jak grób, z omdlałymi, nieruchomymi rękami, wpatrywali się w martwą twarz. Wreszcie, aby cokolwiek powiedzieć, Sali rzekł:

– Czyżby naprawdę nie żył? To wcale nie jest pewne.

Weronka zerwała płatek maku i przyłożyła do pobladłych warg ojca; płatek kwiatu poruszył się słabo.

– Oddycha jeszcze – zawołała. – Biegnij do wioski i sprowadź pomoc.

Gdy Sali zerwał się, by pójść, wyciągnęła ku niemu rękę, przywołując go z powrotem.

– Ale nie wracaj tu z nimi i nie mów nikomu, co zaszło, ja także, będę milczała, niczego się ode mnie nie dowiedzą – rzekła zwracając ku chłopcu twarz oblaną gorzkimi łzami.

– Chodź, pocałuj mnie raz jeszcze.

– Nie, nie, odejdz. Skończyło się, na wieki się skończyło, już się nigdy nie spotkamy.

Odrzuciła go, on zaś pobiegł bezwładnie w kierunku wsi; spotkał jakiegoś chłopczyka, który go nie znał, polecił mu sprowadzić jak najspieszniej pomoc, opisując dokładnie miejsce wypadku. Potem z rozpaczą w sercu poszedł przed siebie i przez całą noc błąkał się po zagajnikach. Rankiem wkradł się znów na pole chcąc się wywiedzieć o następstwach zajścia; usłyszał od ludzi, którzy rozmawiając szli wcześniej do roboty, że Marti jeszcze żyje, ale nie wraca do przytomności.

– Dziwna rzecz – mówili. – Nikt nie wie, co mu się tam przytrafiło.

Teraz dopiero Sali wrócił do miasta i ukrył się wśród ciemnej nędzy swego domu.

Weronka dotrzymała przyrzeczenia; nie można było nic z niej wydobyć, tylko to, że znalazła już ojca w tym stanie. Ponieważ nazajutrz ruszał się znów i oddychał, chociaż nie odzyskał świadomości – a oskarżyciela nie było – przypuszczano, że Marti po pijanemu zapewne upadł na kamienie, i nikt tej sprawy więcej nie poruszał. Weronka pielęgnowała go nie odstępując ani na krok, chyba gdy udawała się do doktora po lekarstwo lub gdy zmuszona była ugotować sobie nędzną zupę. Żyła prawie niczym, jakkolwiek czuwała dzień i noc nie mając nikogo do pomocy. Trwało to sześć tygodni, zanim chory zaczął odzyskiwać stopniowo świadomość, choć już przedtem jadł i w łóżku czuł się dość rześki. Ale świadomość, którą teraz odzyskiwał, nie była jego dawną świadomością; im więcej mówił, tym wyraźniej było widać, że zidiociał, i to w sposób najdziwaczniejszy. Zachował mętłą pamięć o tym, co się zdarzyło, jak o czymś bardzo wesołym i jego nie dotyczącym, śmiał się ciągle jak błazen i był w dobrym humorze. Gdy jeszcze leżał w łóżku, miewał mnóstwo błazeńskich, bezsensownych i swawolnych pomysłów i powiedzeń, stroił miny i naciągał czarną wełnianą spiczastą czapkę na oczy i na nos, który wtedy wyglądał jak trumna pod

całunem. Błada i wymizerowana Weronka przysłuchiwała mu się cierpliwie, roniąc łzy z powodu szaleństwa ojca, napawającego biedną córkę większym przerażeniem niż poprzednia złośliwość. Lecz niekiedy, gdy stary zrobił coś już nadto śmiesznego, Weronka mimo swej męki wybuchała głośnym śmiechem, bo cała jej zgnębiona istota, jak napięty łuk, czekała tylko chwili odprężenia; lecz potem następował tym głębszy smutek. Gdy stary zaczął wstawać z łóżka, nie było już na niego rady; robił same głupstwa, śmiał się i przetrząsał wszystkie kąty, siadał na słońcu i pokazywał język albo wygłaszał długie przemowy do fasolowych tyk.

W tym samym czasie wyczerpały się też resztki jego dawnego mienia, nieład doszedł do zenitu, tak że dom i ostatni zagon, znajdujące się od pewnego czasu pod sekwestrem, zostały sądownie sprzedane, bowiem chłop, który kupił dwa zagony Manca, wykorzystał ostateczny upadek i chorobę Martiego i doprowadził stary spór szybko i zdecydowanie do końca; przegrany proces przywiódł Martiego do żebraczego kija, on zaś w zamroczeniu umysłu nie zdawał sobie z tego sprawy. Odbyla się licytacja, Marti zaś został umieszczony na koszt gminy w zakładzie dla tego rodzaju ubogich obłąkanych. Zakład ten znajdował się w stolicy kraju; fizycznie zdrowego, cieszącego się apetytem pomyleńca dobrze jeszcze nakarmiono i wsadzono na zaprzężoną w woły furę; powiózł go do miasta ubogi chłop, który pragnął przy tej okazji sprzedać kilka worków kartofli.

Weronka usiadła obok ojca, by towarzyszyć mu w tej ostatniej podróży, niby pogrzebie za życia. Była to gorzka i smutna jazda, lecz Weronka czule opiekowała się ojcem, uważała, by mu na niczym nie zbywało, nie oglądała się za siebie i nie traciła cierpliwości nawet wtedy, gdy ludzie, zaintrygowani dziwnym zachowaniem się nieszczęśliwego, biegli za wózkiem. W końcu przybyli do obszernego budynku w mieście; długie korytarze, podwórza i przyjemny ogród pełne były podobnych do Martiego pomyleńców. Wszyscy nosili białe kitle, a na biednych, obłąkanych głowach mocne skórzane czapeczki.

W obecności Weronki ubrano Martiego w ten strój, a on cieszył się z tego jak dziecko i śpiewając tańczył.

– Witam was w imię Boga, czcigodni panowie – wołał Marti do swych nowych towarzyszy. – Jaki piękny macie dom? Idź do domu, Werońciu, i powiedz matce, że ja już nie wrócę, bo dalibóg, tu podoba mi się lepiej. Oho! ho!

Skaczą po lesie i szczekają jeże,  
Dziewczę – nie kochaj starego,  
Dosyć jest we wsi młodzieży.  
Wszystkie strumyki do Renu płyną,  
Zaś modrooka jest mą dziewczyną.

– Już idziesz, Weronko? Dlaczego wyglądasz jak śmierć na rożnie? Przecież ja czuję się wspaniale.

Krzyczy lisica w polu – halo, ho!  
Serce ją boli – oh, ho, ho!

Jeden z dozorców nakazał mu spokój i odprowadził do lekkiej pracy, Weronka zaś wróciła do wozu. Usiadła na furze, wyciągnęła kawałek chleba i zjadła go; potem usnęła i spała, dopóki nie nadszedł chłop i nie odwiózł jej z powrotem do wsi. Przybyli dopiero w nocy i Weronka poszła do domu, w którym się urodziła, a w którym wolno jej było pozostać jeszcze tylko dwa dni. Po raz pierwszy w życiu znalazła się w nim zupełnie sama. Rozpaliła ogień, by ugotować resztkę kawy, i usiadła na przypiecku; było jej ogromnie ciężko na duszy. Martwiła się i niewymownie tęskniła za Salim, myślała o nim żarliwie i pragnęła zobaczyć

go, choć jeden jedyny raz; ale troski i zgryzoty przydawały goryczy tej tęsknocie, czyniąc ją tym cięższą do zniesienia. Siedziała z głową opartą na dłoniach, gdy nagle ktoś wszedł przez otwarte na oścież drzwi.

– Sali! – wykrzyknęła Weronka podniósłszy oczy i rzuciła mu się na szyję; ale natychmiast spojrzeli po sobie, przerażeni, i zawołali:

– Jakże nędznie wyglądasz!

Bo Sali był nie mniej niż Weronka blady i wymizerowany. Niepomna na nic, zaciągnęła go na przepiepek i spytała:

– Byłeś chory czy też wiedzie ci się równie marnie jak mnie?

Sali odpowiedział:

– Nie, nie jestem chory, chyba z tęsknoty za tobą. Powodzi się nam teraz wręcz wspaniale. Ojciec urządził schron i melinę dla rozmaitej obcej hołoty i zdaje mi się, że stał się paserem; dlatego na razie panuje w naszej gospodzie niebywały dostatek, dopóki się to wszystko w jakiś okropny sposób nie skończy. Matka także przykłada do tego ręki z gorzkiej chciwości i sądzi, że wprowadzając jakowyś ład i porządek uczyni przestępstwo miłym i pożytecznym. Mnie nie pytają, a i tak niewiele mnie to obchodzi, bo dzień i noc o tobie jedynie myślę. Ale że zachodzą do nas najrozmaitsze włóczęgi, miałem co dzień wiadomości o tym, co się u was dzieje, a mój ojciec cieszył się z nich jak dziecko. Słyszeliśmy już, że twój ojciec został dzisiaj zabrany do szpitala; pomyślałem sobie, że będziesz teraz sama, i przyszedłem, by cię zobaczyć.

Weronka opowiedziała mu wszystko, co ją gnębiło i co przecierpiała, ale tak lekkim i ufnym tonem, jak gdyby opisywała jakieś wielkie szczęście, była bowiem szczęśliwa widząc go przy sobie. Ugotowała kociołek gorzkiej kawy i zmusiła ukochanego, aby się z nią napił.

– A zatem pojutrze musisz stąd odejść? – zapytał chłopiec. – Na miłość boską, co dalej?

– Nie wiem – odrzekła Weronka. – Pójdę w świat na służbę, ale nie wytrzymam bez ciebie, a przecież nigdy nie możesz być mój, nawet gdyby nie dzieliło nas nic innego jak to, że uderzyłeś mojego ojca i pozbawiłeś go rozumu. To byłoby na zawsze złą podstawą naszego małżeństwa i nigdy nie bylibyśmy szczęśliwi. Nigdy!

Sali westchnął i rzekł:

– Setki razy już chciałem zaciągnąć się do wojska lub pójść za parobka gdzieś w nieznane strony; ale nie mogę stąd odejść, dopóki ty tu jesteś; to by mnie zabiło. Zdaje mi się, że nędza czyni moją miłość do ciebie silniejszą i boleśnieszą i że chodzi tu o życie i śmierć. Nie miałem pojęcia, że coś takiego może w ogóle istnieć.

Weronka patrzyła na niego z uśmiechem pełnym miłości; oparli się o ścianę i nie rozmawiali już więcej, lecz w milczeniu poddawali się uczuciu szczęścia, które wznosiło ich ponad wszelkie smutki, gdyż byli najzupełniej pewni swojej wielkiej i głębokiej miłości.

Zasnęli spokojnie na niewygodnym przepiecku; bez poduszki i wezgłowia spali łagodnie i cicho jak dzieci w kołysce. Świtało już, gdy Sali ocknął się pierwszy; budził Weronkę, jak mógł najdelikatniej, lecz ona wciąż przytulała się do niego i nie mogła się ocknąć. Wtedy pocałował ją mocno w usta, a Weronka zerwała się, otworzyła szeroko oczy na jego widok i zawołała:

– O, Boże, śniłeś mi się właśnie. Miałam sen, żeśmy przez wiele, wiele godzin tańczyli na naszym weselu, żeśmy byli strasznie szczęśliwi, ładnie ubrani i że nam na niczym nie zbywało. Ale gdy chcieliśmy się nareszcie pocałować i strasznieśmy tego pragnęli, ciągle nas coś rozdzielało i ty sam byłeś tym, który przeszkadzał i mącił. Ale jak to dobrze, że tu jesteś – rzuciła mu się na szyję i całowała go nie mogąc się od niego oderwać.

– A cóż się tobie śniło? – spytała głaszcząc go po policzkach i brodzie.

– Śniło mi się, że szedłem bez końca długą, długą drogą przez las, ciągle widząc ciebie daleko przed sobą; czasem oglądałaś się za mną dając mi znaki i śmiałaś się, a wtedy czułem się szczęśliwy jak w niebie. Oto wszystko.

Wyszli przez otwarte drzwi kuchenne, prowadzące wprost na dwór, i wybuchnęli śmiechem; spojrzawszy na swoje twarze. Bowiem prawy policzek Weronki i lewy policzek Salego – we śnie przytulone do siebie – zabarwiły się od ucisku na kolor czerwony, podczas gdy chłód nocnego powietrza pogłębił jeszcze bladość drugiego policzka. Tkliwie nacierali sobie chłodną, bladą część twarzy, by się również zarumieniła. Świeże ranne powietrze nasycone rosą, cisza krajobrazu i czerwień porannej zorzy, natchnęły ich wesołością; zapomnieli o wszelkim zmartwieniu, zwłaszcza Weronka poddała się całkowicie przemilemu uczuciu bez troski.

– Jutro wieczór muszę iść precz z tego domu – rzekła – i szukać innego dachu nad głową. Ale przedtem chciałam raz, choć jeden tylko raz, zabawić się wesoło – i to z tobą. Chciałam gdzieś natańczyć z tobą do syta, bo, ani na chwilę nie mogę zapomnieć tego tańca we śnie.

– Chcę być z tobą i wiedzieć, gdzie się podziejesz – powiedział Sali – i także chętnie bym z tobą zatańczył, moja dziecięca droga, ale gdzie?

– Jutro jest odpust w dwóch miejscowościach nie bardzo stąd odległych – odrzekła Weronka. – Tam nas nie znają i nie będą zwracać na nas uwagi; za wsią nad wodą poczekam na ciebie, a potem pójdziemy, gdzie się nam żywnie spodoba, aby się raz dobrze zabawić, tylko jeden jedyny raz. Ale, ach! Przecież nie mamy pieniędzy – dodała ze smutkiem – nic z tego nie będzie.

– Pozostaw to mnie – rzekł Sali – ja przyniosę pieniądze.

– Ale nie od twego ojca, z tych... z tych kradzionych?

– Nie, bądź spokojna. Mam jeszcze srebrny zegarek, teraz go sprzedam.

– Nie będę cię od tego odwodziła – rzekła Weronka rumieniąc się – bo umarłabym chyba, gdybym nie mogła jutro z tobą potańczyć.

– Byłoby najlepiej, gdybyśmy oboje umarli – powiedział Sali.

Uściskali się na pożegnanie z żalem i bólem serca, a mimo to rozstając się wymienili pogodny uśmiech, pełni nadziei na dzień następny.

– Kiedy przyjdiesz? – zawołała jeszcze Weronka.

– Najpóźniej o jedenastej przed południem – odpowiedział. – Zjemy razem porządną obiad.

– Dobrze, dobrze, ale przyjdź lepiej już o wpół do jedenastej.

Gdy Sali odwrócił się, by odejść, zawołała go jeszcze raz, ukazując nagle zmienioną, pełną rozpaczycy twarzyczkę.

– Wszystko na nic, na nic – rzekła płacząc gorzko – nie mam odświętnych trzewików. Wczoraj już musiałam włożyć grube buty jadąc do miasta. Skąd wezmę trzewiki?

Sali stał zaskoczony i bezradny.

– Nie masz trzewików? – powiedział. – Musisz więc pójść w tych.

– Nie, nie, w tych nie mogę tańczyć.

– W takim razie musimy ci kupić.

– Gdzie? Za co?

– Ojej, w Seldwili jest sklepów z obuwem pod dostatkiem, pieniądze będę miał najpóźniej za dwie godziny.

– Ależ nie mogę przecież chodzić z tobą po Seldwili, a zresztą nie starczy pieniędzy jeszcze i na trzewiki.

– Musi starczyć. Kupię trzewiki i jutro je przyniosę.

– Ach, ty głuptasie, przecież nie będą dobre na mnie, jeśli sam je kupisz.

– Więc daj mi jakiś stary trzewik – albo czekaj, lepiej wezmę ci miarę, to nie będzie chyba takie trudne.

– Weźmiesz miarę? Naprawdę o tym nie pomyślałam. Chodź, chodź, zaraz wyszukam jakiś sznurek.



Usiadła znowu na piecu, podciągnęła nieco spódnicę, zdjęła bucik z nogi odzianej jeszcze od wczoraj w białą pończochę. Sali ukląkł i wziął, jak umiał, miarę otaczając sznurkiem delikatną jej stopę wedle długości i szerokości i zawiązując starannie węzełki.

– Ty mój szewczyku – rzekła Weronka, zarumieniona, śmiejąc się do niego radośnie.

Sali też i był czerwony i trzymał mocno jej stopę w rękach dłużej, niż to było konieczne. Weronka jeszcze mocniej się rumieniąc cofnęła nogę, ale zmieszanego chłopca raz jeszcze serdecznie uściskała i ucałowała, a potem kazała mu iść.

Znalazłszy się w mieście Sali niezwłocznie zaniósł zegarek do zegarmistrza, który dał mu zań sześć czy siedem guldenów; za srebrny łańcuszek dostał też kilka guldenów, czuł się więc bardzo bogaty, ponieważ odkąd dorósł, nie miał nigdy tyle pieniędzy.

„Kiedyż minie już ten dzień i przyjdzie niedziela, która przyniesie mi tyle szczęścia?” – myślał Sali, bo jakkolwiek „pojutrze” majaczyło się ciemne i nieznane, upragniona zabawa jutrzejsza nabierała tym cudniejszego, tym mocniejszego blasku. Tymczasem spędził dzień całkiem znośnie, szukając trzewików dla Weronki, a był to najmilszy ze wszystkich sprawunków, jakie kiedykolwiek załatwiał. Chodził od jednego szewca do drugiego, obejrzał wszelkie znajdujące się na składzie kobiece obuwie i nabył w końcu parę lekkich i eleganckich trzewików, tak ładnych, jakich Weronka nigdy jeszcze nie miała. Ukrył je pod kamizelką i przez resztę dnia już się z nimi nie rozstawał; wziął je z sobą nawet do łóżka i włożył pod poduszkę. Ponieważ widział dziewczynę dziś rano, zaś jutro miał ją znowu zobaczyć, usnął mocno i spokojnie, ale już wczesnym rankiem wstał rześki i jął jak najstaranniej czyścić i oporządzać swoje ubogie odświętne ubranie.

Zwróciło to uwagę matki i zdziwiona spytała, jakie ma plany, bo od dawna już nie ubierał się z taką dbałością. Odpowiedział, że chce pochodzić i rozejrzeć się nieco po okolicy, w przeciwnym bowiem razie rozchoruje się w tym domu.

– Zachciewa mu się włóczyć nie wiadomo po co – zrzędził ojciec, ale matka rzekła:

– Pozwól mu iść, może mu to wyjdzie na dobre, żal patrzeć, jak mizernie wygląda.

– A masz pieniądze na spacer? Skąd je masz? – zapytał stary.

– Nie potrzebuję pieniędzy – powiedział Sali.

– Masz tu guldena – odparł stary rzucając mu pieniądz – możesz iść do wsi i tam go przejeść, aby nie myśleli, że jesteśmy w nędzy.

– Nie pójdę do wsi i nie potrzeba mi guldena, zatrzymajcie go sobie.

– Miałeś go, ale szkoda by go było dla ciebie, uparciuchu – zawołał Manc i wsadził guldena z powrotem do kieszeni, lecz jego żona, która – sama nie wiedząc czemu – odczuwała dzisiaj dziwne wzruszenie i niepokój o syna, przyniosła mu wielki, czarny mediolański szal z czerwonym brzegiem; szal ten nosiła rzadko, syn zaś od dawna już miał na niego ochotę. Sali owinął szal dokoła szyi, pozwalając fruwać długim jego końcom; po raz pierwszy też – w przyływie wiejskiej dumy – kołnierz od koszuli, który zwykle nosił wyłożony, postawił aż po uszy, solidnie, wysoko i po męsku, po czym już o godzinie siódmej wyruszył w drogę z trzewiczkami w kieszeni surduta. Gdy opuszczał izbę, dziwny jakiś impuls skłonił go do podania ręki ojcu i matce, na ulicy zaś kilkakrotnie obejrzał się na dom.

– Zdaje mi się – powiedział Manc – że chłopak lata za jakąś babą. Tego nam jeszcze potrzeba!

– Dałby Bóg, aby znalazł szczęście, przydałoby się biednemu chłopcu – odrzekła żona.

– Rzeczywiście – powiedział mąż – tego mu jeszcze potrzeba! Raj na ziemi znajdzie, jeśli natrafi na jaką sekutnicę! Świetnie chłopczyną na tym wyjdzie! Naturalnie!

Sali zrazu skierował kroki ku rzece, gdzie miał czekać na Weronkę, ale po drodze zmienił zamiar i poszedł prosto do wsi, by wstąpić po nią do domu, nie mógł bowiem wytrzymać do pół do jedenastej. „Co mnie obchodzą ludzie – myślał – nikt nam nie pomaga, a zamiary mam uczciwe i nie boję się nikogo”. Wszedł więc niespodzianie do izby i równie niespodzianie zastał Weronkę całkowicie ubraną i przystrojoną, oczekującą chwili, w której

mogłaby już wyjść; brakło jej jeszcze tylko trzewików. Ale Sali, widząc dziewczynę tak piękną jak nigdy, stanął cicho na środku izby z otwartymi ustami. Miała prostą sukienkę z ufarbowanego na niebiesko płótna, lecz czystą i świeżą, uwydatniającą doskonale smukłą jej kibić. Na suknię narzuciła śnieżnobiały muślinowy szal i to stanowiło cały jej strój. Brązowe kędzierzawe włosy były starannie ułożone, a rozwiane zazwyczaj loki otaczały teraz wdzięcznie jej głowę; ponieważ Weronka od wielu tygodni nie opuszczała prawie domu, a także na skutek trosk i zmartwień, policzki jej stały się bledsze i bardziej przezroczyście niż zwykle. Obecnie miłość i radość nasyciły tę przezroczystość raz po raz purpurą; do piersi przypięła piękny bukiet z rozmarynu, róż i wspaniałych astrów. Siedziała przy otwartym oknie oddychając cicho świeżym, przepojonym słońcem powietrzem poranka; ujrawszy Salego wyciągnęła ku niemu dwoje ślicznych ramion odsłoniętych po łokcie i zawołała:

– Jak to dobrze, że już przyszedłeś. A przyniosłeś trzewiki? Na pewno? Nie wstanę, zanim ich nie włożę! Sali wyjął z kieszeni upragniony dar i wręczył go pięknej dziewczynie; ona odrzuciła stare buciki, wsunęła stopy w nowe, które leżały jak ulał. Teraz dopiero podniosła się z krzesła, stała chwilę w nowym obuwiu, po czym przemierzyła izbę ostrożnie kilka razy. Odgarnęła nieco błękitną suknię i przyglądała się z upodobaniem czerwonym wełnianym wstążkom zdobiącym trzewiki.

Sali nie odrywał oczu od delikatnej, uroczej postaci, która w przemiłym podnieceniu poruszała się przed nim radośnie.

– Przyglądasz się memu bukietowi? – rzekła Weronka. – Prawda, że piękny? Trzeba ci wiedzieć, że są to ostatnie kwiaty, jakie znalazłam jeszcze na naszym pustkowiu. Tu rosła różyczka, ówdzie aster, teraz zaś, gdy złożyła się z nich wiązanka, wcale nie poznać, że są to kwiaty wyrosłe na ruinie mojej ojcowizny. Lecz najwyższy czas, by stąd odejść. W ogródku ani kwiatka, a dom także już pusty. Sali rozejrzał się dokoła i dopiero teraz spostrzegł, że całe ruchome mienie, jakie tu jeszcze było, zostało wyniesione.

– Biedna Weronisiu – powiedział – czy wszystko ci już zabrali?

– Wczoraj – odrzekła – zabrali wszystko, co się tylko dało ruszyć z miejsca, ledwo pozostawili mi łóżko, ale natychmiast je sprzedałam i również mam teraz pieniądze. Spójrz!

Z kieszeni sukienki wyjęła kilka błyszczących talarów i pokazała mu.

– Opiekun sierot z ramienia gminy, który tu był – ciągnęła Weronka – powiedział, że mam iść do miasta szukać służby i że już dzisiaj mam się stąd wynieść.

– Ale tu już nic nie ma – powiedział Sali zajrzawszy do kuchni. – Nie widzę ani kawałka drzewa, ani garnuszka, ani noża, czyżbyś nic jeszcze dzisiaj nie jadła?

– Nic a nic – odrzekła Weronka. – Mogłabym sobie coś przynieść, ale myślałam, że lepiej być na czczo, by móc zjeść dużo razem z tobą, bo okropnie się na to cieszę, nie masz pojęcia, jak się cieszę!

– Gdyby mi wolno było cię dotknąć – powiedział Sali – pokazałbym ci, co czuję, ty moje cudne, cudne stworzenie!

– Masz słuszość, bo pogniótlbyś cały mój strój, a to, że szanujesz kwiaty, wyjdzie tylko na dobre mojej fryzurze, którą mi zazwyczaj psujesz.

– A więc chodź, ruszajmy!

– Musimy poczekać, aż zabiorą łóżko; potem zamknę ten pusty dom i nie wrócę tu już więcej. Węzełek dam na przechowanie kobiecie, która kupiła łóżko.

Usiedli więc naprzeciwko siebie i czekali; nadeszła wkrótce chłopka, krępa kobieta o obrotnym języku, i przyprowadziła z sobą chłopca, który miał odnieść łóżko. Kobieta ujrawszy ukochanego Weronki i ją samą tak ładnie ubraną otworzyła szeroko oczy i usta, podparła się pod boki i zawołała:

– Ojej, Weronka, ładnie sobie poczynasz, masz gościa i wystroiłaś się jak księżniczka!

– Dobrze, dobrze – rzekła Weronka śmiejąc się życzliwie – a wiecie, kto to jest?

– Ojej, to będzie chyba Sali Manc? Góra z górą się nie zejdzie, powiadają, ale człowiek z

człowiekiem... Lecz uważaj na siebie, dziecko, pamiętaj, jak to było z waszymi rodzicami.

– O, to się teraz zmieniło, wszystko jest już dobrze – odrzekła Weronka ze szczerym śmiechem i nieomal wyniośle. – Widzicie, Sali jest moim narzeczonym.

– Narzeczonym? Co ty mówisz?

– Tak! I jest bogatym panem, wygrał na loterii sto tysięcy guldenów, pomyślcie tylko, kobieto – zapewniała Weronka poważnie.

Kobieta podskoczyła, przerażona, klasnęła w ręce i zawołała:

– Sto... sto tysięcy guldenów?

– Sto tysięcy guldenów – poważnie zapewniła Weronka.

– Panie nad Pany! Ale to nieprawda, okłamujesz mnie, moje dziecko!

– Wierzcie albo nie wierzcie, jak chcecie!

– Ale jeśli to jest prawda i wyjdiesz za niego za męża, co zrobicie z taką ilością pieniędzy?

Czy naprawdę chcesz się stać wielką damą?

– Rozumie się, za trzy tygodnie wyprawimy wesele.

– Dajże mi spokój, ty paskudny kłamczuchu!

– On kupił już najładniejszy dom w Seldwili, z dużym ogrodem i winnicą; musicie nas odwiedzić, gdy się już urządzimy, liczę na to.

– No, no, ty mała czarodziejko!

– Zobaczycie, jak tam pięknie, przyrządę znakomitą kawę i poczęstuję was babką z masłem i miodem.

– O, ty szelmotko, możesz być pewna, że przyjdę! – zawołała kobieta. Twarz jej przybrała łakomy wyraz, a ślinka napłynęła jej do ust.

– A jeśli przyjdziecie w porze południowej, zmęczona targiem, znajdzie się zawsze dla was mocny rosół i szklaneczka wina.

– To będzie wspaniałe!

– Nie zabraknie wam też słodyczy i białej bułki dla dzieciaków w domu.

– Aż mi ślinka idzie!

– Znajdzie się też z pewnością jakiś przyzwoity szaliczek czy reszteciska jedwabiu, jakaś stara wstążka do spódnicy, czy też kawałek nowego materiału na fartuch, jeśli tylko rozpakujemy w spokojnej chwili wszystkie moje skrzynie i kufry.

Kobieta wierciła się na pięcie i z radością potrząsała spódnicami.

– Gdyby zaś waszemu mężowi nadarzył się jakiś korzystny interes przy kupnie ziemi czy bydła, a zabrakłoby mu gotówki, wiecie, do czyich drzwi należy zapukać. Mój kochany Sali zawsze rad ulokuje gotowiznę w pewnym interesie. Ja też będę miała nieco zaoszczędzonego grosza, by wesprzeć w potrzebie serdeczną przyjaciółkę.

Teraz kobieta uległa już całkowicie i rzekła wzruszona:

– Zawsze mówiłam, że jesteś dzielnym, dobrym i ślicznym dzieckiem. Pan Bóg ześle ci pomyślność i błogosławieństwo za to, co czynisz dla mnie.

– Ale żądam, abyście i dla mnie byli dobrzy.

– Możesz żądać ode mnie wszystkiego!

– Abyście wasz towar zawsze przede wszystkim do mnie przynosili, zanim udacie się na targ; wszystko: owoce, ziemniaki czy warzywa, abym wiedziała, że zawsze mam pod ręką dobrą gospodynię, na której mogę polegać. To, co by wam kto inny zapłacił za towar, zapłacę i ja z przyjemnością, znacie mnie przecież. Ach, nie ma nic piękniejszego nad dobrą i trwałą przyjaźń zamożnej mieszczki tkwiącej bezradnie wśród murów i potrzebującej przecież tylu rzeczy – z uczciwą i prawą wieśniaczką doświadczoną we wszystkim, co ważne i pożyteczne. Przyjaźń taka przyda się w tysiącnych przypadkach, w smutku i w radości, przy weselach i chrzcinach, przy nauce i confirmacji dzieci, przy oddawaniu ich do rzemiosła i przy wyprawianiu ich w świat. Przy klęskach nieurodzaju lub powodzi, pożaru czy gradobicia, przed czym niech was ręka boska broni!

– Niech nas ręka boska broni! – powtórzyła pocziwa kobieta szlochając i wytarła fartuchem oczy. – Jakaż z ciebie rozsądna mała kobietka; tak, tak, tobie z pewnością będzie się dobrze wiodło, inaczej nie byłoby sprawiedliwości na świecie. – Jesteś piękna, porządna, zaradna, mądra, pracowita i zręczna do wszystkiego. Nie ma miłszej i lepszej od ciebie we wsi – i nie tylko we wsi – a kto cię dostanie, będzie miał raj na ziemi, chyba że jest łobuzem, a wtedy będzie miał ze mną do czynienia! Słuchaj, Sali, żebyś mi się grzecznie obchodził z moją Weronką, ty szczęśliwczu, któremu udało się uszczknąć taką różyczkę, bo inaczej, pokazałabym ci, co potrafię!

– Weźcie więc teraz mój węzełek, tak jakeście mi przyrzekli, i zachowajcie, dopóki po niego nie przyślę, albo być może, że przyjadę sama powozem i odbiorę go, jeśli pozwolicie. Nie odmówcie mi wtedy garnuszka mleka, a pyszny migdałowy torcik przywiozę już sama.

– Dziecko drogie, dawaj węzełek.

Na tłumoku z pościelą, który kobieta trzymała już na głowie, Weronka położyła długi worek wypchany manatkami i rupieciami, tak że biedna kobieta miała na głowie chwiejącą się wieżę.

– Będzie mi chyba za ciężko zabrać wszystko na raz – rzekła. – Czy nie mogłabym dwa razy obrócić?

– Nie, nie. Musimy natychmiast odejść, mamy daleką drogę przed sobą, idziemy odwiedzić wytwornych krewnych, którzy odezwali się teraz, odkąd jesteście bogaci. Wiecie, jak to, bywa.

– Znam to, znam. Niech cię Bóg strzeże, a pomyśl czasem o mnie wśród tych wszystkiej wspaniałości.

Wieśniaczka wyszła ze swą wieżą, utrzymując z trudem równowagę, za nią dreptał chłopiec, idąc między bokami kolorowego niegdyś łóżka Weronki. Głową podpierał pokryty spłowiałymi gwiazdami baldachim i niczym drugi Samson dźwigał dwa kunsztownie rżnięte słupy, na których baldachim się wspierał. Weronka, oparta o Salego, śledziła wzrokiem cały korowód i patrząc na tę posuwającą się wśród ogrodów świątynię rzekła:

– Z tego można by jeszcze zrobić niezgorszą altanę, gdyby to ustawić w ogrodzie, umieścić wewnątrz stolik i ławeczki i obsiać dokoła powojem. Chciałbyś tam kiedy ze mną siedzieć Sali?

– O, tak, Weronisium! Zwłaszcza gdyby zarosła już powojem.

– Czegóż jeszcze stoimy? – powiedziała Weronka. – Nic nas już tu nie trzyma.

– Więc chodź i zamknij dom. Komu chcesz oddać klucz?

Weronka obejrzała się dokoła.

– Tu go powiesimy, na tej halabardzie; znajduje się ona w tym domu od przeszło stu lat, jak mówił często ojciec, niech pozostanie więc jako ostatni strażnik!

– Powiesili zardzewiały klucz na zardzewiałym zakrętasiu starej broni, po której pięła się fasola, i odeszli. Weronka przybladła i zakryła na chwilę oczy, tak iż Sali musiał ją prowadzić. Uszli w ten sposób kilkanaście kroków; ale nie obejrzała się za siebie.

– Dokąd najpierw pójdziemy? – spytała.

– Pójdziemy przed siebie – odpowiedział Sali – i spędzimy dzień, gdzie się nam spodoba, nie będziemy się spieszyć, do wieczora zaś znajdziemy chyba miejsce, gdzie się da potańczyć.

– Dobrze – rzekła Weronka – cały dzień będziemy razem i pójdziemy, dokąd się nam zechce, ale teraz jest mi słabo, musimy się w najbliższej wsi napić kawy.

– Rozumie się – powiedział Sali. – Wyjdźmy tylko z tej wsi.

Wkrótce znaleźli się w polu i w milczeniu szli obok siebie przez niwy. Był piękny wrześnieowy poranek niedzielny, niebo było bezchmurne, wzgórza i lasy okryte delikatną, pachnącą mgiełką, która nadawała okolicy piękno tajemnicze i uroczyste. Ze wszech stron dochodził dźwięk dzwonów kościelnych: to harmonijny, głęboki ton dzwonu z miejscowości

bogatej, to znów gadatliwe dzwoneczki małej, ubogiej wioski. Para zakochanych zapomniała o tym, co czeka ich u schyłku dnia, i oddała się całkowicie upajającej i niewysłowionej radości wkraczania w tę niedzielę; czysto ubrani i swobodni, czuli się jak dwoje legalnie należących do siebie, szczęśliwych ludzi. Każdy rozbrzmiewający w niedzielnej ciszy ton lub daleki odgłos przesywał wstrząsem ich dusze; bo miłość jest dzwonem powtarzającym najodleglejsze i najbardziej obojętne tony, przeobrażając je w swoistą, szczególną muzykę. Mimo że byli głodni, półgodzinna droga do najbliższej wsi wydała się im zajęczym skokiem; ociągając się weszli nieśmiało do karczmy położonej na skraju miejscowości. Sali zamówił dobre śniadanie, a podczas gdy je przyrządzano, oboje przyglądali się cichutko przyjemnym i solidnym gospodarzom w dużej, czystej izbie gościnnej. Gospodarz był równocześnie piekarzem; miły zapach świeżego pieczywa przenikał cały dom, wnoszono kopiaste kosze z chlebem rozmaitego rodzaju, ponieważ po kościele ludzie wstępowali tu, by kupić pszenne pieczywo lub wypić poranny kufelek. Gospodyni, kobieta grzeczna i czysta, cierpliwie i spokojnie ubierała dzieci w niedzielne stroje, a każde z nich, gotowe, przybiegało z ufnością do Weronki, pokazywało swoje wspaniałości i opowiadało o wszystkim, czym się cieszy i chlubi.

Gdy podano mocną i pachnącą kawę, młoda parka usiadła nieśmiało przy stole, jak gdyby była w gościnie. Wkrótce jednak ośmielili się i jęli rozmawiać szeptem, skromni, lecz szczęśliwi. Ach, jak bardzo smakowała rozkwitającej w tym szczęściu Weronce dobra kawa, tłusta śmietanka, świeże, ciepłe jeszcze bułeczki, piękne masło i miód, słodka babka i liczne inne jeszcze smakołyki! Smakowały jej, bo patrzyła przy tym na Salego, i jadła z taką przyjemnością, jak gdyby przez rok pościła. Cieszyła się też z pięknej zastawy i srebrnych łyżeczek, gospodyni bowiem uważała ich widocznie za prawnie złączoną młodą parę, którą należy przyzwoicie obsłużyć; przysiadła się do nich od czasu do czasu na pogawędkę, oni zaś udzielali jej rozsądnych i zadowalających odpowiedzi. Poczciwa Weronka czuła się tu tak dobrze, że sama nie wiedziała, czy woli wyjść, by sam na sam ze swym najdroższym bujać po łąkach i lasach, czy też pozostać w przytulnej izbie, by przynajmniej przez kilka godzin pomarzyć o dostatnim domu. Lecz Sali ułatwił jej wybór wzywając ostatecznie i rzeczowo do wyruszenia w drogę, jak gdyby mieli coś tajemniczego i ważnego do załatwienia. Gospodyni i gospodarz odprowadzili ich aż przed dom, żegnając jak najżyczliwiej ze względu na ich nienaganne zachowanie, mimo widocznego ubóstwa; biedna zaś młoda parka pożegnała się z nimi przestrzegając najlepszych w świecie manier i powędrowała dalej godnie i obyczajnie.

Znalazszy się znowu pod gołym niebem i wszedłszy głęboko w dąbrowę, szli w ten sam sposób obok siebie, zatopieni w przyjemnych marzeniach, jak gdyby nie pochodzili z domów zniszczonych, pełnych klęsk, kłótni i nędzy, lecz byli dziećmi ludzi przyzwoitych, dziećmi, do których uśmiecha się jasna przyszłość. Weronka zwiesiła zadumaną główkę na kwieciem przybraną pierś, opuściła ręce wzdłuż sukni i tak szła przed siebie po gładkim, wilgotnym gruncie leśnym; natomiast Sali szedł szybko, smukły, wyprostowany i zamyślony, a oczy wpijał w mocne pnie dębów jak wieśniak zastanawiający się, które drzewa należałoby ściąć. W końcu ocknęli się z tych próżnych marzeń, spojrzeli po sobie i zauważyli, że ciągle jeszcze są w tym samym nastroju, w jakim opuścili gospodę; zarumienili się i posmutnieli. Lecz młodość ma swoje prawa, las był zielony, niebo błękitne, a oni samiutcy na świecie; poddali się więc wkrótce znowu uczuciu swobody. Ale niedługo byli sami, bo piękna leśna droga zaludniła się grupkami przechadzających się młodych ludzi i parami, które po kościele zabawiały się wesołym przekomarzaniem i śpiewami. Wieśniacy bowiem mają tak samo jak mieszczanie swoje ulubione miejsca spacerów i gaiki, z tą tylko różnicą, że są piękniejsze i że utrzymanie ich nic nie kosztuje; przechadzają się oni nie tylko po swych kwitnących i dojrzewających polach ze szczególnym, odświeżającym uczuciem, lecz chodzą również wyszukanymi ścieżkami przez zagajniki i zielone urwiska, siadają na uroczych wzgórzach z rozległym widokiem lub na skraju lasu, śpiewają dźwięczne pieśni i rozkoszują się pięknym

pustkowiem; ponieważ zaś czynią to widocznie nie po to by się umartwiać, lecz dla przyjemności, należy przyjąć, że rozumieją przyrodę, niezależnie od pożytku, jaki przynosi. Zarówno młodzi chłopcy, jak i stare babuleńki, zwiedzające dawne ścieżki swojej młodości, zrywają zawsze nieco zieleni; nawet sztywni wieśniacy w sile wieku idąc polami ścinają chętnie smukłe witki i odrywają liście pozostawiając jedynie u góry zieloną kiść. Taką różdżkę noszą w ręku jak berło; wchodząc do jakiegoś urzędu czy kancelarii stawiają witkę z szacunkiem do kąta i nawet po najpoważniejszych rozprawach nie zapominają nigdy zabrać jej z powrotem, by nietkniętą przynieść do domu, gdzie dopiero najmłodszemu synkowi przysługuje prawo zniszczenia jej. Sali i Weronka śmiali się skrycie, widząc tyłu spacerujących i cieszyli się, że także stanowią parę; wymknęli się jednak na ustronne, węższe ścieżki leśne, gdzie zagubili się w głębokiej samotności. Zatrzymywali się, gdzie im się zachciało, biegali i odpoczywali, i podobnie jak na czystym niebie nie było ani jednej chmurki, tak nie było w tej chwili troski w ich sercach. Zapomnieli, skąd i dokąd idą, a zachowywali się przy tym tak delikatnie i przyzwoicie, że mimo ruchu i radosnego podniecenia śliczny i prosty strój Weronki był równie świeży i nienaruszony jak rano. W czasie tej wędrowki Sali zachowywał się nie jak dwudziestoletni chłopak wiejski i syn wykolejonego szynkarza, lecz jak gdyby był o parę lat młodszy i niezwykle starannie wychowany. Było to nieomal śmieszne, jak wpatrywał się w drobną, wesołą Weronikę, pełen czułości, starania i szacunku. Bo biedna parka miała w tym jednym darowanym przez los dniu przeżyć wszelkie formy i nastroje miłości, miała nadrobić stracone dni pierwszych, nieśmiałych uniesień, jako też doznać przedsmaku namiętnego końca, okupionego życiem. Chodzili tak długo, aż znowu poczuli głód i ucieszyli się, gdy ze szczytu pełnej cienia góry ujrzeni wspaniałą wieś, gdzie mogli się zatrzymać, by spożyć obiad. Szybko zbiegli na dół i weszli do tej wsi równie obyczajnie, jak opuścili poprzednią. Na drodze nie było nikogo, kto by ich znał, bo zwłaszcza Weronka nie bywała między ludźmi w ostatnich latach i nie zachodziła do innych wsi. Dlatego też wydawali się przykładną, uczciwą parą, udającą się dokądś w jakichś swoich sprawach. Weszli do pierwszej z brzegu gospody, gdzie Sali zamówił obfity obiad; nakryto dla nich odświętnie osobny stół, siedzieli znowu cichutko i skromnie i przyglądali się ścianom wyłożonym pięknie politurowanym drzewem orzechowym, wiejskiemu, błyszczącemu i dobrze utrzymanemu kredensowi z tego samego drzewa i czystym, jasnym firankom.

Gospodyni podeszła ku nim życzliwie i postawiła na stół wazon ze świeżymi kwiatami.

– Zanim przyniosą zupę – powiedziała – możecie do woli sycić oczy widokiem bukietu. Wygląda na to, że jesteście parą narzeczonych, która idzie do miasta na ślub, prawda?

Weronika zarumieniła się i nie śmiała podnieść oczu. Sali także się nie odezwał, gospodyni zaś ciągnęła dalej:

– No, no, jesteście oboje co prawda bardzo młodzi, ale kto się młodo żeni, długo żyje – powiadają – wy zaś wyglądacie ładnie i przyzwoicie i nie potrzebujecie się ukrywać. Porządni ludzie mogą dojść do czegoś, jeśli się młodo pożenią, będą sobie wierni i pracowici. I tak być powinno, bo życie jest krótkie, a przecież długie, bo składa się z wielu, wielu dni. Tak, tak, dni życia są wystarczające piękne i zabawne, jeśli człowiek umie się z nimi obchodzić. Nie bierzcie mi tych uwag za złe, ale cieszę się, gdy patrzę na was, bo taka śliczna z was para. Kelnerka przyniosła zupę, a ponieważ usłyszała część tych słów, sama zaś marzyła o małżeństwie, spojrzała zawistnym wzrokiem na Weronkę, której przyszłość, jak sądziła, układa się tak gładko. Niemiła ta osoba dała upust swojej niechęci mówiąc w sąsiedniej izbie do gospodyni tak głośno, że można ją było usłyszeć:

– Oto znowu jedna z tych parok, co to bez grosza przy duszy pędzą do miasta wziąć ślub, nie mając ani wyprawy, ani przyjaciół, ani żadnych widoków na przyszłość. Czeka ich tylko dziadostwo i bieda! Co za sens, żeby się pobierali, jeśli nie mają co na grzbiet włożyć i jeśli nie stać ich będzie nawet na cienką zupkę! Ach, żal mi tego ślicznego młodego człowieka,

porządnie wpadł z tą swoją dzierlatką!

– Pst! Będziesz ty cicho, zawistnico! – rzekła gospodyni. – Nic nie dam na nich powiedzieć, jest to z całą pewnością para przyzwoitych młodych ludzi z górskich okolic, gdzie są fabryki; ubrani są ubogo, ale czysto, a jeśli się kochają i są pracowici, zajdą dalej niż ty ze swą złośliwą gębą. Długo będziesz czekać, nim cię kto weźmie, jeśli nadal będziesz taka słodka jak ocet!

Tak więc Weronka zaznała wszelkich rozkoszy narzeczonej wybierającej się na wesele: życzliwych słów otuchy z ust bardzo rozsądnej kobiety, zawiści ze strony złej i zazdrosnej osoby, litującej się nad jej narzeczonym, oraz smacznego obiadu u boku ukochanego. Jej twarz płonęła jak czerwony goździk, serce biło mocno, mimo to jednak jadła i piła z apetytem, a wobec usługującej im kelnerki była niezwykle uprzejma, nie mogła sobie jednak odmówić szeptów i czulego spoglądania na Salego, co chłopaka najzupełniej wytrącało z równowagi. Siedzieli przy stole długo i spokojnie, zwlekając z odejściem, jak gdyby w obawie utraty uroczego złudzenia.

Gospodyni przyniosła na deser słodkie pieczywo. Sali zaś zamówił lepsze i mocniejsze wino, które po kilku łykach zapłonęło we krwi Weronki. Lecz wzięła się w karby, piła niewiele, drobnymi łykami, i siedziała grzecznie i wstydliwie jak prawdziwa oblubienica. Grała tę rolę na poły filuternie, chcąc zakosztować, jak to jest, na poły zaś dlatego, że naprawdę tak czuła; zdawało się jej, że serce pęknie z gorącej miłości i trwogi, zrobiło jej się duszno w czterech ścianach i zapragnęła odejść; jak gdyby obawiając się zostać sam na sam na odległych drózkach, poszli – nie umawiając się – gościńcem, wśród ludzi, nie oglądając się na nikogo. Gdy jednak minęli wieś i zbliżali się do następnej, w której odbywał się odpust, Weronka wzięła Salego pod rękę i szepnęła drżącym głosem:

– Sali, dlaczego nie mielibyśmy nacieszyć się sobą?

– Nie wiem, dlaczego – odparł Sali wpatrując się w łagodny blask jesiennego słońca ogarniającego łąki.

Stanęli, by się pocałować, ale ukazali się ludzie, zaniechali więc tego i poszli dalej. Wielka wieś, w której odbywał się odpust, wrzała już radością ludu; z okazałej karczmy rozlegała się głośna muzyka taneczna, bowiem młodzież rozpoczęła tańce już w południe; na placu przed karczmą odbywał się niewielki jarmark: było tam kilka straganów ze słodyczami i pieczywem oraz kilka bud z błyskotkami. Dokoła nich tłoczyły się dzieci i gapie; Sali i Weronka zbliżyli się również do tych wspaniałości i poczęli się im przyglądać; każde z nich trzymało rękę w kieszeni i pragnęło coś ofiarować drugiemu, byli bowiem pierwszy i jedyny raz na jarmarku razem. Sali kupił duży dom z piernika pobielony ślicznie lukrem, z zielonym dachem, na którym siedziały białe gołębie z cukru, i z kominem, z którego wyglądał amorek jako kominiarz; w otwartym okienku całowały się dwie puciołowate figurki o malutkich usteczkach, a całowały się dziwacznie, bo praktyczny malarz jednym machnięciem pędzla stworzył dwoje złączonych z sobą usteczek. Czarne punkciki wyobrażały żwawe oczka, a na różowych drzwiach domu można było wyczytać następujący wiersz:

Do domku mego, luba,  
Wstąp, nie bój się pokusy,  
Lecz wiedz, że tu się wszystko  
Oblicza na całusy.

A luba rzekła: – Luby,  
Nie boję się, o nie!  
Już wszystko rozważyłam,  
W tobie jest szczęście me.

A gdy pomyślę szczerze,  
To właśnie tego chcę.  
– Wejdz zatem w imię Boże,  
Wejdz i uściskaj mnie.

Pan w niebieskim fraku i dama o bardzo wydatnym biuście, wymalowani po obu stronach drzwi, zapraszali się nawzajem do domku, zgodnie z zapowiedzią wiersza.

Weronka natomiast darowała Salemu serce, na którego jednej stronie przyklejona była karteczka ze słowami:

Słodki migdałek tkwi w sercu tym,  
Lecz słodsza miłość jest w sercu moim!

Gdy zjesz to serduszko, zapamiętaj sobie,  
Ze miłość moja skończy się aż w grobie.

Czytali z zapałem te piernikowe gadki; były to dla nich najpiękniejsze i najbardziej wzruszające ze wszystkich rymowanych i drukowanych słów na świecie. Uważali, że zostały ułożone specjalnie dla nich i że jedynie do nich się odnoszą.

– Ach – westchnęła Weronka – darowałeś mi dom. Ja tobie także darowałam dom, i to dom prawdziwy; bo serce nasze jest teraz naszym domem, w którym żyjemy i jak ślimaki nosimy z sobą. Innego domu nie mamy.

– Jesteśmy więc dwoma ślimakami, a każdy nosi domek drugiego – powiedział Sali, zaś Weronka rzekła:

– Nie wolno się nam rozstawać, każde zawsze musi być w pobliżu swego domu.

Nie wiedzieli, że rozmawiając w ten sposób robili takie same uwagi, jakie można było wyczytać na rozmaicie ukształtowanych piernikach; studiowali w dalszym ciągu tę prostą literaturę miłosną wyłożoną na straganach i zdobioną różnymi małymi i dużymi serduszkami. Wszystko wydawało się im piękne i niezwykle dla nich stosowne; gdy Weronka przeczytała na pożądanym serduszkach, ozdobionych jakby strunami liry, słowa:

Jak cytra zagra moje serce,  
Poruszysz struny – gra gorącej.

zdawało się jej, że słyszy muzykę własnego serca. Znajdowała się tu również podobizna Napoleona, pod którą widniała następująca sentencja miłosna:

Napoleon – heros wielki,  
Miecz ze stali, serce miękkie.  
Miłość ma – choć z płatków róży,  
Jak stal – wszystkie przetrwa burze.

Oboje, choć zagłębieni w czytaniu, znaleźli jednak chwilę, by po kryjomu poczynić zakupy; Sali nabył dla Weronki pożądaną pierścionek z zielonym szkiełkiem, Weronka zaś kupiła dla niego pierścionek z czarnego rogu kozicy, z wprawioną weń złotą niezapominajką. Widocznie oboje myśleli o tym, by w chwili rozstania obdarzyć się nawzajem tymi skromnymi upominkami. Pograżeni w tych sprawach, zapomnieli o wszystkim i nie zauważyli, jak stopniowo utworzył się dokoła nich krąg ludzi przyglądających się im



uważnie i ciekawie. Znalazło się tu bowiem sporo młodych chłopców i dziewcząt z ich wsi, którzy ich poznali, i teraz, stojąc w pewnej odległości, ze zdziwieniem spoglądali na wystrojoną parę. Ta jednak, oddana swoim podniosłym uczuciom, zdawała się nie dostrzegać otaczającego ją świata.

– Ojej, spójrzcie! – mówiono. – Toż to przecież Weronka Marti i ten Sali z miasta, jakoś się z sobą spotkali i połączyli. I spójrzcie tylko, co za czułość i przyjaźń, no, no, do czego też to doprowadzi?

Zdumienie wieśniaków było dziwną mieszaniną współczucia dla cudzej niedoli, pogardy dla upadku i nędzy rodziców oraz zawiści na widok szczęścia i harmonii młodej pary; Weronka i Sali byli bowiem w sobie rozkochani w sposób niezwykły i nieomal wzniosły, w bezbrzeżnym zaś oddaniu i zapomnieniu o świecie wydawali się nieokrzeseanej gromadzie równie obcy jak w ubóstwie i opuszczeniu. Gdy się nareszcie ocknęli i rozejrzeli dokoła, spostrzegli, że ze wszystkich stron otaczają ich twarze gapiów; nikt się z nimi nie przywitał i oni także nie wiedzieli, czy mają się z kimś witać, czy nie; to uczucie obcości i niechęci nie było umyślne, lecz z obu stron wynikało raczej z zakłopotania.

Weronce zrobiło się gorąco i przykro, bladła i rumieniła się na przemian, lecz Sali ujął ją za rękę i wyprowadził z kręgu otaczających. Ze swym domkiem w dłoni poszła za nim chętnie, mimo że w karczmie wesoło grzmiały trąby, a ona tak bardzo pragnęła tańczyć.

– Tutaj nie możemy tańczyć – powiedział Sali, gdy się nieco oddalili – bo zdaje się, nie zaznalibyśmy tu radości.

– Tak – odrzekła Weronka smutno – może będzie najlepiej, jeśli całkiem zarzucimy ten zamiar, a ja od razu zacznę się rozglądać za jakimś schronieniem.

– Nie! – zawołał Sali. – Chciałaś tańczyć i dlatego przyniosłem ci trzewiki. Pójdziemy tam, gdzie bawią się najubożsi, do nich teraz należymy i nikt nie będzie tam nami gardził; w „Rajskim Ogródku” zawsze się tańczy podczas odpustu, bo należy do tej samej parafii; od biedy będziesz mogła tam nawet przenocować.

Weronka wzdrygnęła się na myśl, że po raz pierwszy przyjdzie jej spać w nieznanym miejscu, lecz szła ulegle za swym przewodnikiem, bowiem jego jednego miała tylko na świecie.

„Rajski Ogródek” był gospodą pięknie położoną na samotnym wzgórzu, skąd roztaczał się daleki widok, zachodzili tam jednak w dniach przeznaczonych na zabawę jedynie najubożsi: dzieci małorolnych chłopów, wyrobnicy oraz różnorodna wędrowna czeladź.

Był to mały dworek wybudowany przed stu laty przez bogatego dziwaka, po którym nikt nie chciał tu zamieszkać, a ponieważ posiadłość do niczego się nie nadawała, podupadła i dostała się w końcu w ręce karczmarza, który ją uprawiać w niej swój proceder. Ale dom zachował swą nazwę i pierwotny wygląd. Składał się tylko z parteru, nad którym zbudowano otwarty taras, dach zaś spoczywał na czterech posągach ze zwietrzałego piaskowca przedstawiających czterech archaniołów. Dokoła gzymsu na dachu przycupnęły, również w piaskowcu rzeźbione, aniołki z okrągłymi głowami i brzuskami, grające na skrzypcach, na flecie, cymbałach i triangule, a instrumenty te były niegdyś pozłacane. Sufit, balustrada tarasu i stare mury domu pokryte były spłowiałymi freskami przedstawiającymi wesołe gromadki aniołków oraz postacie śpiewających i tańczących świętych. Ale wszystko to było już zamazane i niewyraźne jak senne widziadła, ponadto zaś oplecione obficie winogradem; dojrzewające niebieskawe grona wisiały wszędzie wśród listowia. Dom był otoczony dzikimi kasztanami i sękatymi wielkimi krzakami róż, które rozrosły się szeroko i dziko, tak jak gdzie indziej krzaki bzu. Taras był salą taneczną; Sali i Weronka zbliżając się widzieli już z daleka kręcące się pod gołym niebem pary oraz tłum rozbawionych gości, pijących i hałasujących dokoła domu. Weronka niosąc z nabożeństwem i czułością swój miłosny domek wyglądała jak święta patronka na dawnych obrazach trzymająca w ręce model katedry czy klasztoru, które ufundowała; ale nabożna fundacja Weronki skazana była na zniszczenie.

Usłyszawszy rozbrzmiewającą z tarasu skoczną muzykę, zapomniała o swym cierpieniu i pragnęła jedynie tańczyć z Salim.

Przepchali się przez tłum gości siedzących przed domem i w izbie: nędzarzy z Seldwili, którzy wybrali się na tanią wycieczkę oraz ubogi ludek z różnych okolic. Poszli schodami na górę i natychmiast zaczęli kręcić się w takt walca, zapatrzeni w siebie jak w tęczę. Dopiero gdy walc się skończył, rozejrzeli się dokoła. Weronka zgmiotła i połamała swój domek i zaczynała się właśnie tym martwić, gdy nagle wzdrygnęła się na widok czarnego skrzyпка, obok którego stanęli. Siedział na ławce stojącej na stole, a był tak czarny jak zwykle. Dzisiaj jednak miał wetkniętą w kapelusz jodłową gałązkę, u stóp jego stała butelka czerwonego wina i szklanka, które nie wywracały się, mimo że grając na skrzypcach przytupywał bezustannie, wykonując tym samym coś w rodzaju tańca wśród jaj. Obok niego siedział urodziwy, lecz markotny młody człowiek z waltornią i stał garbus grający na basie. Sali także przeląkł się na widok skrzyпка, ten jednak pozdrowił ich jak najuprzejmiej i zawołał:

– Wiedziałem, że jeszcze wam kiedyś zagram! Bawcie się dobrze, kochaneczki, i przypijcie do mnie!

Poczęstował Salego pełną szklanką; Sali wypił trąciwszy się z nim. Skrzypek spostrzegłszy trwogę Weronki przemówił do niej życzliwie, sypiąc miłymi żartami, które zmusiły ją do śmiechu. Poweselała więc znowu i oboje radzi byli, że mają tam znajomego, który wziął ich niejako pod opiekę. Tańczyli przeto bez ustanku, zapominając o sobie i o całym świecie wśród wiru, śpiewu i hałasu, którymi rozbrzmiewał dom, a górskie echo niosło ją daleko po okolicy, zapadającej powoli w srebrzysty opar jesiennego wieczoru. Tańczyli aż do zmierzchu, dopóki większość podochoconych gości, wykrzykując wesoło, nie rozeszła się na wsze strony. Ci, co zostali – bezdomne ptaki niebieskie – pragnęli przyjemny dzień przedłużyć jeszcze o całą przyjemną noc. Kilku wśród nich w swoich dziwnie dosztukowanych strojach wyglądało na nietutejszych, a było snadź dobrymi znajomymi skrzyпка. Szczególnie zwracał uwagę pewien młody człowiek w zielonej welwetowej kurtce i w pogniecionym słomkowym kapeluszu, okolonym wiankiem z liści i gron jarzębiny. Chłopak wiódł z sobą nieokielzaną osobę w spódnicy z wiśniowego perkalu w białe kropki. Dziewczyna miała na głowie wieniec z winogrodu, tak że nad jej skroniami zwisały granatowe grona. Para ta była najbardziej podochocona ze wszystkich, tańczyła i śpiewała niestrudzenie i wszędzie jej było pełno. Tańczyło tu jeszcze smukłe i piękne dziewczę w spłowiałej czarnej jedwabnej sukience i w białej na głowie chusteczce, której końce zwisały na plecy. Chusteczka była tkana w czerwone ongiś prążki, jako dobry lniany ręcznik albo serweta, pod nią błyszczały fiołkowobłękitne oczy dziewczyny. Na piersiach miała naszyjnik z jagód jarzębiny, które nawleczone na nitkę zastępowały jej najpiękniejszy sznur koralu. Dziewczę tańczyło zawsze sarno, odmawiając uparcie tańca z którymkolwiek z chłopaków. Poruszała się lekko i wdzięcznie i mijając smutnego waltornistę uśmiechała się do niego za każdym razem, on jednak stale odwracał głowę. Znajdowało się tam jeszcze kilka rozbawionych niewiast wraz ze swymi opiekunami, wszyscy byli mimo ubożego stroju bardzo weseli i w najlepszej z sobą zgodzie.

Gdy się już całkiem ściemniło, gospodarz nie zapalił świateł twierdząc, że wiatr zgasiłby je natychmiast, zresztą wszędzie wkrótce księżyc w pełni, a światło jego najzupełniej wystarczy gościom, na których się i tak nic nie zarabia. To oświadczenie przyjęte zostało z wielkim zadowoleniem; całe towarzystwo ustawiło się przy balustradzie przewiewnej sali w oczekiwaniu księżyca, wyłaniającego się już z czerwieni nieboskłonu. Gdy księżyc wzeszedł i rzucił swą poświatę na taras „Rajskiego Ogródka”, zaczęto tańczyć na nowo tak cicho, ładnie i radośnie, jak gdyby tańczono przy świetle stu woskowych świec. Dziwne światło zbliżyło wszystkich; Sali i Weronka musieli wziąć udział w ogólnej wesołości i tańczyć także z innymi uczestnikami zabawy. Ale za każdym razem, gdy ich rozdzielono, biegli znowu ku sobie stęsknieni, jak gdyby lata całe się szukali i nareszcie znaleźli. Sali tańcząc z innymi

miał minę smutną i niechętną i bez przerwy oglądał się za Weronką ta jednak mijała go w tańcu nie patrząc na niego, gorzała jak purpurowa róża i wydawała się szczęśliwa bez względu na to, z kim tańczyła.

– Jesteś zazdrosny, Sali? – spytała go w chwili, gdy zmęczeni muzykanci przestali grać.

– Broń Boże! – odparł Sali. – Nie znam tego uczucia.

– Dlaczego więc jesteś zły, gdy tańczę z innymi?

– Nie dlatego jestem zły, tylko że muszę z innymi tańczyć. Nie znoszę innych dziewcząt i gdy trzymam w ramionach kogoś, kto nie jest tobą, zdaje mi się, że obejmuję kawał drzewa. A ty? Jak to jest z tobą?

– O, co do mnie, to czuję się jak w raju, gdy tańczę i wiem, że ty tu jesteś. Ale zdaje mi się, że padłabym trupem, gdybyś odszedł i zostawił mnie samą.

Zeszli na dół i stanęli przed domem. Weronka objęła go ramionami, przytuliła się do niego swym smukłym, drżącym ciałem, przycisnęła wilgotny od łez policzek do jego twarzy i rzekła szlochając:

– Nie możemy być razem, a ja przecież nie mogę żyć bez ciebie ani chwili, ani minuty.

Sali objął dziewczę mocno, tuląc ją do siebie i okrywając pocałunkami jego wzburzony umysł szukał jakiegoś wyjścia, ale go nie znajdował. Gdyby nawet mógł przewyciężyć nędzę i beznadziejność swego położenia, to jego młodość i uboga w doświadczenie namiętność nie mogły wyjść zwycięsko z długotrwałej i wymagającej wyrzeczeń próby; a poza tym była jeszcze sprawa ojca Weronki, którego unieszczęśliwił na całe życie. Żyło zarówno w nim, jak i w Weronce przeświadczenie, że w świecie mieszczańskim można być szczęśliwym jedynie w uczciwym małżeństwie, zawartym z czystym sumieniem; u obu opuszczonych istot był to ostatni przebłysk honoru, który dawniej jaśniał w ich rodzicielskich domach, zanim został przez ojców podeptany i zniszczony; błąd ojców polegał właśnie na fałszywie pojętym honorze, sądzili bowiem lekkomyślnie, że zyskają na godności, gdy niczym nie ryzykując – jak mniemali – powiększą swój majątek o własność zaginionego. To się oczywiście zdarza codziennie, ale los dla przykładu zrząda niekiedy tak, że dwaj grabieżcy cudzego mienia i honoru zderzają się z sobą, a wtedy niechybnie ścierają się i pożerają wzajemnie jak dzikie zwierzęta. Nie tylko bowiem królowie na tronach, ale również mieszkańcy najuboższych chat przeliczają się w swych rachubach, gdy dążą do pomnożenia bogactwa, i zdarza się, że dochodzą do wręcz odmiennych wyników, niż zamierzali, a tarcza ich honoru staje się tarczą hańby. Sali i Weronka widzieli w dzieciństwie swoje domy rodzicielskie w pełnym splendorze ludzkiego szacunku. Pamiętali czasy, kiedy jako dzieci byli otoczeni opieką w domu rodzicielskim, a ich ojcowie wyglądali tak samo jak inni mężczyźni – spokojnie i statecznie. Potem nastąpiła długa rozłąka, a gdy się znowu zobaczyli, spotkanie to przywodziło im na pamięć dni minionego szczęścia rodzinnego, co jeszcze wzmogło ich wzajemne uczucia. Bardzo pragnęli pogody i szczęścia, ale opartego jedynie na silnej podstawie, która zdawała się im nieosiągalna, podczas gdy szumiąca krew pchała ich ku sobie nieodparcie.

– Zapadła już noc – zawołała Weronka – i musimy się rozstać!

– Mam pójść do domu i zostawić cię samą? – rzekł Sali. – Nie, nie mogę tego uczynić.

– Ale gdy nadejdzie dzień, też się nic nie zmieni na lepsze!

– Dam wam dobrą radę – usłyszeli za sobą przenikliwy głos skrzypka, który zjawił się nagle przed nimi. – Stoicie tu – powiedział – i nie macie się gdzie podziać ze swoją miłością. Radzę wam, byście się nie zwlekając połączyli. Chodźcie ze mną i z moimi druhami w góry, tam nie trzeba wam będzie księdza ni pieniędzy, honoru ni dokumentów, ani nawet łóżka, wystarczy jedynie wasza dobra wola. Wcale nie tak źle u nas, powietrze dobre, a jedzenia pod dostatkiem dla tego, kto nie boi się pracy; zielony las jest naszym domem, a kochamy się, ile tylko chcemy; w zimie chronimy się do najcieplejszych kryjówek albo włazimy w ciepłe chłopskie siano. Krótko i węzłowato: urządzcie tu na miejscu wesele i chodźcie z

nami, a pozbędziecie się wszelkich trosk, połączycie się na wieki albo na tak długo, jak będzie się wam podobało. Nie sądźcie, że was winię o to, co uczynili wasi starzy, nie! Mam wprawdzie pociechę, gdy widzę, do czegoście doszli, ale na tym poprzestanę i jeśli pójdziecie ze mną, będę wami służyć radą i pomocą.

Powiedział to tonem naprawdę szczerym i serdecznym.

– Teraz zastanówcie się, a jeśli moje rady wam dogadzają, pójdźcie za mną. Nie przejmujcie się światem, pobierzcie się i nie oglądajcie się na nikogo. Pomyślcie o beztroskiej łożnicy w gęstym lesie lub w stogu siana, o ile by wam było zimno.

Z tymi słowami wszedł do domu. Weronka drżała w ramionach ukochanego, Sali zaś spytał:

– Co sądzisz o tym? Zdaje mi się, że dobrze by było machnąć ręką na cały świat i kochać się, kochać się bez przeszkód.

Powiedział to jednak niezupełnie poważnie, raczej tonem rozpaczliwego żartu.

Weronka jednak odpowiedziała całkiem szczerze, całując go:

– Nie, nie chcę tam pójść, bo nie dzieje się tam całkiem po mojej myśli. Ten młodzieniec z waltornią i dziewczyna w jedwabnej sukni także należą do siebie i są pono bardzo w sobie zakochani, ale ubiegłego tygodnia dziewczyna zdradziła go, a on nie może się z tym pogodzić, dlatego jest taki smutny i gniewa się na nią i na wszystkich, którzy się z niego śmieją. Ona zaś odbywa pokutę za swawolę w ten sposób, że tańczy sama i z nikim nie rozmawia, czym go także tylko ośmiesza. Ale po biednym muzykancie znać, że pogodzi się z nią jeszcze dzisiaj. Nie chcę iść tam, gdzie dzieją się takie rzeczy, bo nigdy cię nie zdradzę, chociaż zrobiłabym wszystko, aby cię mieć.

Ale mówiąc to Weronka gorzała coraz mocniej, tuląc się do Salego, już bowiem od południa, od chwili gdy zagrała rolę oblubienicy wobec karczmarki, rola ta weszła jej w krew i opanowywała ją tym silniej, im mniej było nadziei na jej urzeczywistnienie. Z Salim działo się nie lepiej; słowa skrzypka – mimo że nie bardzo ich słuchał – wywołały zamęt w jego głowie; odpowiedział bezradnie zdławionym głosem:

– Wejźmy do środka, musimy przynajmniej coś zjeść i wypić.

Weszli do gospody, gdzie nie było już nikogo oprócz grupki bezdomnych, spożywających ubogi posiłek.

– Oto nasza młoda para – zawołał skrzypek – chodźcie tu do nas, bawcie się wesoło!

Zmuszono ich do zajęcia miejsca przy stole, usiedli, uciekając niejako od siebie samych, i radzi byli, że weszli choć na chwilę pomiędzy ludzi. Sali zamówił wino i obfitsze jedzenie i wkrótce zapanowała ogólna wesołość. Nadąsany muzykant pogodził się z niewierną kochanką i oboje oddawali się błogim pieszczotom; druga nieokiełzdana para jadła i piła, również nie szczędząc sobie dowodów miłości, skrzypek zaś i garbaty basista hałasowali, ile wlezie. Sali i Weronka objawszy się siedzieli cichutko; nagle skrzypek nakazał milczenie i wykonał żartobliwą scenę, mającą wyobrazić ceremonię ślubu. Musieli podać sobie ręce, towarzystwo zaś wstało i każdy po kolei podchodził do nich, by im życzyć szczęścia i pogratulować związku. Sali i Weronka pozwolili na to bez słowa, uważając to za żart, nie mogli się jednak oprzeć wzruszeniu. Nieliczne towarzystwo stawało się coraz żywsze, głośniejsze i podniecone winem, gdy skrzypek rzucił nagle wezwanie do ruszenia w drogę.

– Droga daleka – zawołał – a północ już minęła, naprzód! Stworzymy orszak weselny, a ja go pięknie poprowadzę.

Zaambarasowanej i bezradnej parze nie pozostało nic innego, jak znowu się zgodzić i pójść na czele pochodu; pozostałe dwie pary uformowały orszak, który zamykał garbus ze swym basem na ramieniu. Czarny szedł pierwszy, grając jak opętany na skrzypkach przez całą drogę, inni śmiali się, śpiewali i podskakiwali. Szaleńczy nocny korowód mijał ciche pola, minął też rodzinną wioskę Salego i Weronki; mieszkańcy jej od dawna już spali. Idąc przez ciche uliczki wioski i przechodząc mimo swoich utraconych gniazd wpadli w jakiś boleśnie wyuzdany nastrój. Jęli na wyścigi z innymi tańczyć w takt muzyki skrzypka,

całować się, śmiać i płakać. Tańcząc weszli pod wodzą skrzypka na szczyt wzgórza, na którym leżały trzy zagony; na szczycie czarny grajek raz jeszcze dziko zagrał na skrzypkach, podskakując przy tym jak upiór, towarzysze nie ustępowali mu w wyuzdaniu, tak że ciche wzgórze stało się istną czarcią górą. Nawet garbus sapiąc podskakiwał z swoim ciężarem i zdawało się, że nikt już nie wie, co się z nim dzieje.

Sali uchwycił mocniej ramię Weronki i zmusił ją, by przystanąła, on bowiem pierwszy oprzytomniał. Pocałował ją mocno w usta, by się uciszyła, bo Weronka śpiewała głośno zapomniawszy się całkowicie. Zrozumiała go wreszcie i przystanęli nasłuchując, dopóki nieokiełzany orszak weselny nie popędził dalej w pole i – nie zauważywszy ich braku – znikł nad brzegiem rzeki. Tony skrzypiec, śmiech dziewcząt i okrzyki chłopaków rozlegały się wśród nocy jeszcze długo, aż w końcu przebrzmiały i nastąpiła głucha cisza.

– Od nich uwolniliśmy się – rzekł Sali – ale jak uwolnimy się od siebie samych? Jak się rozstać?

Weronka nie mogła dać mu na to odpowiedzi; wzdychając głęboko, tuliła się do niego.

– Czy nie powinienem odprowadzić cię do wsi i zbudzić ludzi, aby cię przyjęli na noc? Jutro możesz ruszyć w drogę, wszędzie dasz sobie radę.

– Dam sobie radę bez ciebie?

– Musisz zapomnieć o mnie.

– Nigdy! A ty, czy mógłbyś zapomnieć?

– Nie chodzi teraz o mnie, serce moje – powiedział Sali głaszcząc jej gorące policzki przytulone namiętnie do jego piersi – chodzi tylko o ciebie; jesteś jeszcze taka młodziutka, wszędzie może ci jeszcze być dobrze.

– A tobie nie, staruszkule;?

– Chodź! – powiedział Sali i pociągnął ją za sobą.

Ale uszli zaledwie parę kroków i znowu przystanęli, by się objąć i uściskać. Cisza świata zdała się śpiewać i grać w ich duszach; słyszało się tylko łagodny szum rzeki płynącej cicho i wolno u stóp wzgórza.

– Jak tu cicho, czy nie zdaje ci się, że słuchać jakiś cudny śpiew albo dzwonienie?

– To tylko szum wody. Poza tym – cisza.

– Nie, to jeszcze coś innego, dźwięk dolatuje raz stąd, raz stamtąd, zewsząd!

– Zdaje mi się, że to nasza własna krew tak szumi.

Słuchali jeszcze chwilę tonów prawdziwych czy złudnych zrodzonych przez wielką ciszę i ulegali magicznemu działaniu księżycowego światła, oblewającego bliskie i dalekie mgły jesienne leżące na polach grubym całunem. Nagle Weronce przyszło coś na myśl; zaczęła szukać czegoś przy staniczku i rzekła:

– Kupiłam coś, co chciałabym ci dać na pamiątkę – i wydobyła pierścionek, który sama włożyła mu na palec.

Sali wyjął swój pierścionek i włożył go na palec Weronce mówiąc:

– Myślmy oboje o tym samym.

Weronka podniosła rękę i przyglądała się pierścionkowi w bladym, przejrzystym świetle.

– Ach, jaki piękny pierścień! – rzekła śmiejąc się. Jesteśmy więc zaręczeni i po słowie, jesteś moim mężem, a ja twoją żoną; bądźmy więc nimi przez chwilę, aż przesunie się to pasmo mgły na księżycu albo aż doliczymy do dwunastu. Pocałuj mnie dwanaście razy.

Sali kochał z pewnością równie mocno jak Weronka, ale kwestia małżeństwa nie była dla niego tak żywotna jak dla niej: nie była tym namiętym „być albo nie być”, tym jedynym zagadnieniem życia lub śmierci wymagającym natychmiastowego rozstrzygnięcia. Teraz nagle zrozumiał: kobiece uczucie dziewczęcia wywołało w nim dzikie i gorące pożądanie, które uświadomił sobie z zadziwiającą jasnością. Choć i przedtem ścisnął i pieścił Weronkę serdecznie, teraz czynił to jednak inaczej, namiętniej, i obsypywał ją pocałunkami. Weronka – mimo podniecenia – zauważyła tę zmianę natychmiast, gwałtowne drżenie przeniknęło całą

jej istotę i nim pasmo mgły zdołało przemknąć przez księżyc, namiętność Salego opanowała ją całkowicie. Ich zdobne w pierścionki ręce spotkały się w gwałtownych zmaganiach pieszczoty i zwarły się, jak gdyby same bez nakazu woli zawierały ślub. Serce Salego biło jak młotem, to znów bić przestawało. Oddychając ciężko, szepnął:

– Jest dla nas jedno tylko wyjście, Weronko. Staniemy się małżeństwem jeszcze tej nocy, a potem odejdziemy z tego świata; tam jest głęboka woda, tam nikt nas już nie rozłączy; połączymy się na chwilę czy na wieki, dla nas będzie to już obojętne.

Weronka odpowiedziała natychmiast:

– Sali, o tym, co powiedziałaś, myślałam już dawno, myślałam, że gdybyśmy umarli, skończyłoby się wszystko. Przysięgnij mi, że uczynimy to razem?

– To już jakby się stało, nikomu cię nie oddam, chyba śmierci! – zawołał Sali nie panując nad sobą.

Ale Weronka odetchnęła głęboko, łzy radości trysnęły z jej oczu; zerwała się i pobiegła przez pole ku rzece lekko jak ptak. Sali pobiegł za nią sądząc, że chce od niego uciec, Weronka zaś myślała, że Sali chce ją powstrzymać; tak więc gonili się wzajemnie, a Weronka śmiała się jak dziecko, które nie chce się dać złapać.

– Żałujesz już? – wołało jedno do drugiego gdy przypadli do siebie nad rzeką.

– Nie, cieszę się coraz bardziej – odpowiedzieli sobie.

Wolni od trosk, chodzili wzdłuż brzegu prześcigając szybkie wody, szukając miejsca, na którym mogliby spocząć. Ich namiętność bowiem widziała teraz jedynie upojenie i szczęście, w którym skupiała się cała wartość i treść ich życia; to, co miało przyjść potem: śmierć i nicność, wydawało im się zaledwie tchnieniem, i myśleli o tym mniej, niż lekkoduch myśli o dniu, który nastanie po roztrwonieniu ostatniego grosza.

– Moje kwiaty mnie wyprzedziły – zawołała Weronka – spójrz, są całkiem zwiędłe i martwe.

Odpięła je, rzuciła do wody śpiewając głośno:

lecz słodsza miłość jest w sercu moim!

– Stój! – zawołał Sali – oto twoje małżeńskie łóżko!

Doszli do drogi prowadzącej ze wsi do rzeki; była tu przystań, w której znajdowała się przycumowana barka, wyładowana wysoko sianem. Sali w najwyższym podnieceniu począł natychmiast odwiązywać grube liny. Weronka ze śmiechem chwyciła go za ramię i zawołała:

– Co robisz? Czy mamy jeszcze na koniec okraść chłopom barkę z sianem?

– To będzie ich posag dla nas, pływającą sypialnia i łóżko, jakiego jeszcze żadna panna młoda nie miała. Znajdą zresztą swoją własność tam, dokąd i tak miała popłynąć, nie będą tylko wiedzieli, jak to się stało. Spójrz, już się kołysze i chce pójść na wodę.

Barka stała o kilka kroków od brzegu w nieco głębszej wodzie. Sali wziął Weronkę w ramiona, uniósł ją wysoko i jął brodzić w kierunku barki, lecz Weronka pieściła go niepohamowanie i rzucała się jak ryba, tak że nie mógł utrzymać się na nogach w rwącym nurcie. Weronka usiłowała zanurzyć twarz i ręce w wodzie i wołała:

– Ja także chcę zasmakować chłodnej wody. Pamiętaj, jak zimne i mokre były nasze ręce, gdyśmy je sobie po raz pierwszy podali? Łowiliśmy wtedy ryby, a teraz sami będziemy rybami; ślicznymi, dużymi rybami!

– Uspokój się, diabełku najdroższy! – rzekł Sali, który z trudem utrzymywał równowagę walcząc z falami i szaleństwem Weronki – bo inaczej poniesie nas prąd.

Zaniósł swój ciężar na barkę i sam przesadził burte, ułożył Weronkę na wysokim miękkim posłaniu i usiadł obok niej; barka wypłynęła powoli na środek rzeki i w łagodnych obrotach sunęła z nurtem ku dolinom. Rzeką przecinała wysokie, ciemne lasy, które ją ocieniały oraz rozległe, otwarte pola; mijała milczące wioski i samotne pojedyncze chaty; miejscami

stawała się cicha jak spokojne jezioro, tak że barka niemal zatrzymywała się, to znowu rwała silnym nurtem w skalistym korycie, szybko mijając uśpione brzegi.

Gdy zaświtała różowa jutrzienka, wraz z nią wyłoniły się ze srebrnosinej fali wieże miasta. Zachodzący księżyc kładł wzdłuż rzeki blaski, po których powoli płynęła barka. Gdy o mroźnym jesiennym poranku zbliżyła się ku miastu, po ciemnej masie siana zsunęły się w zimne fale dwie blade, mocno do siebie przytulone postacie.

Po pewnym czasie nie uszkodzona barka oparła się o most i stanęła. Gdy potem za miastem znaleziono zwłoki i odkryto tajemnicę ich pochodzenia, można było przeczytać w gazecie, że dwoje młodych ludzi, dzieci bardzo biednych, zrujnowanych rodzin, żyjących z sobą w nieprzejednanej wrogości, znalazło śmierć w wodzie; przedtem tańczyli na odpuście przez całe popołudnie i wesoło się bawili. Wypadek ten ma zapewne jakiś związek z barką pełną siana, która przyплыnęła do miasta bez załogi; nasuwa się przypuszczenie, że młodzi ludzie ukradli barkę, by odbyć na niej swoje rozpaczliwe, pozbawione błogosławieństwa bożego gody, co jest jeszcze jednym dowodem szerzącej się demoralizacji i zdziczenia obyczajów.